Nr. 14. Kraków, dnia 3 kwietnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Rozpoczynamy drugi kwartał naszej pracy. U początka jej podnosimy jedną z najwątpliwszych i najdrażliwszych bolączek naszego społeczeństwa: kwestyę młodzieży. Czynimy to z pełnem poczuciem odpowiedzialności, wierzący, że każdy odczuje naszą troskę serdeczną. Bo zasadą naszą to nie uchylanie się przed niebezpieczeństwem, ale wyzywanie go do walki dla ogółu zwycięskiej.

Zgodnie z zapowiedzią w poprzednim zeszycie w miarę sił i możności rozszerzamy zakres naszej pracy i naszych zadań. Zupełne jego rozwinięcie zależy jednak od Czytelników naszych i Przyjaciół. Rozglądając się między sobą, widzimy, że do pracy ponownie stanęliśmy wszyscy razem, że w szeregu nie brakuje nikogo, a owszem szeregi nasze wzmagają się i rosną. Ta świadomość niechaj nam będzie zachętą do dalszego jednania Przyjaciół TYGODNIKA. Baczmy, aby każdy z bliskich naszych był Przyjacielem TYGODNIKA i wespół z nim pracował.

Jeszcze czas odnowić i wnosić przedpłatę na kwartał drugi. Uczynić to należy jak najrychlej, aby uniknąć zwłoki w otrzymywaniu pisma i w celu uregulowania nakładu.

O młodzież naszą.

Pod uwagę młodzieży, nauczycielstwa, rodziców.

Źle jest mówić publicznie o niektórych rzeczach, gorzej jednak milczeć, gdy się zło panoszące widzi. Świadomi dużej odpowiedzialności, podnosimy sprawę *demoralizacyi* wśród naszej młodzieży i szukania środków zaradczych.

Rejestrujmy fakty, które dotarły do opinii publicznej: W Krakowie chwytają kilkunastoletnią uczenicę na Błoniach, uprawiającą publicznie, na miejscu widocznem, rozpustę z kilkunastu odrazu chłopcami. W rok później w gimnazyum w Podgórzu odkrywa się siódmioklasistę, który kilkakrotnie usuwał w sposób bestyalski skutki rozwiązłości u koleżanek. Rozluźnienie obyczajów wśród młodzieży gimnazyalnej doprowadza do krzewienia się chorób wenerycznych, a niejednokrotnie stwierdzono, że ofiarami byli malcy 14 i 15-letni. Lekarze szkolni twierdzą, że w wyższem gimnazyum przeciętnie 60 proc. uczniów utraciło niewinność, między nimi 25 proc. przeszło chorobę zakaźną.

I zrozumiałe jest, że w tych warunkach na wszechnicy spotyka się coraz mniej młodzieńców czystych fizycznie. O ile przeprowadzona przed kilku laty ankieta w sprawie czystości młodzieży uniwersyteckiej w Oxfordzie wykazała ledwo 5 proc. utrzymujących stosunki z kobietami, o tyle ankieta podobna w Warszawie wykazała na 800 studentów Politechniki 260 chorych zakaźnie. Są to skutki rozwiązłego życia młodzieży szkół średnich, która nie ujęła w karby swych rozbujałych przedwcześnie namiętności.

Po kryzysie, jaki społeczeństwo polskie przeszło w latach 1904—1906, kiedy zabór austryacki obok młodzieży polskiej walczącej o szkołę polską w Królestwie nawiedziły szumowiny rosyjskie, anarchiczne swe poglądy wprowadzające w życie — stosunki się pogorszyły. Zasady komunizmu gwałciły porządek społeczny, zasady wolnej miłości prowadziły do tragedyi osobistych. Zarazki deprawacyi moralnej przeszczepiły się na nasz grunt. I oto tak częste dramaty wewnętrzne, samobójstwa wśród młodzieży; oto podszywanie się i wkradanie zwykłych ulicznic do zakładów naukowych, byleby tylko mieć dostęp łatwiejszy do młodzieży; oto powstawanie rozmaitych lig i klubów w celach bardzo podejrzanych: oto ściąganie młodzieży przez sutenerów do piwnic i jaskiń suterenowych, gdzie na libacyi i bakchanaliach z młodziutkiemi dziewczętami tracą czystość i uczciwość, bo by uiścić się z długu wobec sute-

nera, muszą kraść u rodziców. A jakiż koniec tej litacyi? Jedno z pism donosi, że ks. katecheta zakładu naukowego, w którym jest stu kilkudziesięciu uczniów, zapewniał, iż jest między nimi *czternastu,* którzy mieli stosunek z *własnemi siostrami!*

Dość, dość tych przerażających grozą obrazów! Ale trzeba je przywieść przed oczy, aby uprzytomnić sobie niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo się odczuwa, ale jakże boimy się uświadamiać brutalnej prawdy.

Zdzieramy maskę obłudnej wstydliwości i wołamy: Ratunku! Jesteśmy głęboko przeświadczeni, że przeważająca większość naszej młodzieży uczącej się hołduje ideałom Filaretów wileńskich, którzy obok ojczyzny i nauki także *cnotę czystości* wyznawali: ale chodzi nam o to, jak ratować ogół przed szerzącą się wszędy demoralizacyą.

Dotychczasowe środki zawiodły. Ani mundurki, ani inne praktyki przymusowe nie pomogą, a bodaj zaszkodzą, dając powód do buntu wewnętrznego. Należy wynaleźć sposoby nowe.

Nie splugawi się w kale rozpusty ta młodzież, co pełną piersią obejmuje szerokie ideały: nie splugawili się wileńscy filareci, gdy umysł zajął się poważną pracą, a uczucie wezbrało ideami szczytnemi. Uprzystępnijmy i my młodzieży świeży powiew naszych ideałów narodowych: niechaj dusze młode skąpią się w polskości, w przeszłości naszej dostojnej, krwawej walce dzisiejszej i w promienistych pragnieniach jutra swobodnego; niechaj z umysłem świadomym odpowiedzialności wobec narodu i przyszłości, ale szalonym potęgą swego ideału łączy się nierozdzielnie dzielność fizyczna, tężyzna ramion, piersi, nóg, taka tężyzna, która godnie odpowiada młodzieży narodu tak rycerskiego, jak naród polski. „Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga... a ze słabością łamać uczmy się za młodu" — cały kanon młodzieży, cała jej ewangelia.

Rzucamy po szeregu smutnych obrazów parę naszych bezpretensyonalnych uwag jako środków zaradczych złu. Walczyć ze złem może skutecznie przedewszystkiem młodzież sama: i jest obowiązkiem jej organów Teki, Zarzewia, Promienia, Łanu młodzieży, Związku młodzieży i tylu innych, wziąć w walce udział jak najwyższy; walczyć może skutecznie tak obywatelskim duchem owiane nauczycielstwo nasze, wreszcie samo społeczeństwo, aby wychować dzielnych i zdrowych swych następców. W walce ze złem myśmy obowiązek publicystyczny spłacili: odkrywamy zło przed ogółem.

***

Uwagi.

— Za nadesłane nam w dniu Zmartwychwstania życzenia Przyjaciołom i Czytelnikom naszym serdecznie dziękujemy. Były one najmilsze, dowodziły bowiem żywo, jak silne i trwałe stosunki nawiązują się między Czytelnikami naszymi a „Tygodnikiem". Jesteśmy pewni, że grono nasze dzięki żywej agitacyi naszych przyjaciół wzrośnie na przyszłą Wielką Noc kilkakrotnie. Uznanie Czytelników jest najlepszą zachętą u progu nowej pracy.

— Odbyty 23. i 24 marca *zjazd* delegatów *Towarzystwa Pedagogicznego* we Lwowie wysunął dwie piekące sprawy: uregulowanie płac nauczycielskich i kwestyę spisu ludności w r. 1910. Referat K. Jaworskiego przypomniał to przykre upośledzenie finansowe, w jakiem nauczycielstwo pozostaje; stosunki są tem smutniejsze, że brak funduszów krajowych stoi na przeszkodzie wszystkiemu; obiecana na r. 1811 regulacya płac nauczycielskich nie dojdzie do skutku. Proponowano urządzenie wiecu nauczycielskiego w czasie najbliższej sesyi sejmowej: imponującą powagą akcya może przynieść skutki pożądane, jeżeli będzie połączona ze środkami zaradczymi. Należałoby zwrócić uwagę na sprawę propinacji, jaka w r. przyszłym ma się definitywnie załatwić.

Ze spraw ogólnych, jakie poruszono na zjeździe, należy zwłaszcza podkreślić współudział nauczycielstwa w pracach około szkół mniejszości narodowej i około uświadomienia ludności co do spisu ludności do końca bieżącego roku.

— Młodzież akademicka lwowska w palmową niedzielę urządziła agitacyę przeciw *kabaretom.* Instytucye te przeniesione na nasz grunt z Francyi — sama nazwa francuska, oznaczająca: szynk! — jest rozsadnikiem demoralizacyi wśród ogółu i siedliskiem legalizowanej rozpusty. Jest to nader radosnym objawem, że akcyę tę podjęła przedewszystkiem młodzież. Ona sama dostrzegła niebezpieczeństwo rozprzężenia obyczajów w kraju, ona pierwsza zgrupowana w rozmaitych organizacyach etycznych podjęła żarliwe przeciwdziałanie. Jej zawdzięczyć mamy zrzeszenie i starszego pokolenia w lidze obyczajności społecznej, jej też zasługą jest pierwszy odruch przeciwko nowym formom propagandy rozwiązłości.

Czyn jednak taki nakłada przedewszystkiem na młodzież samą obowiązek energicznej walki ze złem we własnych szeregach. Jej akcya przeciw kabaretom zyskała odgłos w całej Polsce, jej akcya wśród młodzieży samej, da Bóg, przełamie i rozpęd szerzącej się tam gangreny.

Przymierze serc.

(„Unia" Weyssenhoffa.)

Jak żywo przypominają się w bieżącym roku grunwaldzkim zaczątki nieznanej w dziejach ludzkości unii dwu państw, dwu narodów o odrębnych obyczajach i odrębnej kulturze! Pierwsze fundamenty pod rozwój tej niezwykłej misyi serc kładli Jadwiga i Jagiełło, a poślubienie wzajemne krwią dokonało się na polach Grunwaldu.

Odtąd przez pięć wieków dzieje Polski splatały się nierozdzielnie z dziejami Litwy. Wspólne im obu były okresy zwycięstwa i chwały, wspólne im były nadzieje i złudy, cierpienia i prześladowania. Z całą Polską Litwa upadała i odradzała się. Kiedy w Koronie przed upadkiem państwa obudził się ruch reformatorski, Litwa mu się poddawała, jak wogóle poddawała się działaniu kultury polskiej. W dobie zupełnej rozpaczy, po rozbiorach, z Litwy szły oznaki odrodzenia i na Litwę kryła się kultura polska. Potoki krwi przelanej w powstaniu styczniowem, potoki krwi, wysączonej z Litwy przez okrutnego Murawiewa — jakże silnie spajały ją z całą Polską. Kościuszko i Mickiewicz, pochodzący z Litwy, a czynami swymi i myślami, duchem i testamentem publicznym ogarniający Polskę całą, są najwybitniejszymi wyrazicielami wzajemnego przymierza serc.

Stosunki te uległy zmianie pod wpływem rządu rosyjskiego. Za jego poduszczeniem powstał ruch separatystyczny litewski, t. zw. „litwomański", pragnący dla Litwy zupełnej samoistności i zerwania wszelkich węzłów z Polską. Rosya sama separatyzm ten podniecała, w nadziei, że przezeń złamie oddziaływanie na Litwę kultury polskiej, nie bacząc, że w ten sposób w własne ramy państwowe wprowadza fermenty i rewolucyę. Litwomani zaś obecnie, po kilku latach doświadczeń, coraz bardziej dochodzą do przekonania, że zadaniem ich jest nie walka z uciśnioną, jak oni, polskością, ale z uciskającą Rosyą: ostrze walki z Polakami tępieje, a zwraca się przeciwko tym, co je hodowali.

W powieści Litwa miała swoich reprezentantów. Po części Rodziewiczówna upowijała swoje tematy na tle litewskiem, zawsze te same typy ludzi niezłomnych i wychodzących obronną ręką z każdej opresyi. Przemawiała przedewszystkiem Litwa w powieściach Elizy Orzeszkowej. Wychowana i zamieszkała w Grodnie na Litwie Eliza Orzeszkowa życie całe poświęciła pracy pisarskiej. Pióro w jej dłoni było orężem. Każda powieść podnosiła jakieś zagadnienia ogólne i dawała na nie rady i wskazówki. Każda rzecz dotykała spraw konkretnych np. obrona ziemi, wychowanie narodowe, współdziałanie warstw wszystkich, każda podnosiła dusze, wlewała w zwątpiewające wskutek szalonych represyi serca otuchę i wiarę w przyszłość.

Życia jednak doby najnowszej, współcześnie nurtujących prądów w kwestyi polsko-litewskiej Orzeszkowa nie dała, ale uczynił to Józef Weyssenhoff w ostatniej swej powieści „Unia" (Warszawa 1910). Dał obraz stosunków i ich rozwiązanie.

A Weyssenhoff mógł to uczynić. Człowiek o niesłychanie wysokiej kulturze, wielki artysta i bystry obserwator życia, znawca stosunków w kraju i wśród wszystkich sfer społecznych — w dwu swoich pięknych powieściach („Panu Podfilipskim" i „Sprawie Dołęgi") dowiódł, że w sposób artystyczny umie postawić aktualne kwestye umysłowe i społeczne.

Jakże postawił kwestyę litewską?

Znany z mniej udatnych „Dni politycznych" działacz społeczny Andrzej Budzisz jedzie na Litwę w misyi politycznej, za towarzysza mając młodego Kazimierza Rokszyckiego, który wybrał się tam w celach praktycznych. Spotykają się z ludźmi, uczestniczą w zebraniach i zjazdach, biorą udział w dyskusyach i sporach, w życiu ziemiaństwa i ludu. Cała Litwa współczesna przesuwa się przed oczyma czytelnika. Są radykali polscy i litewscy, konserwatyści obu narodowości, są przedstawiciele walki klasowej i społecznej harmonii, arystokracyi i ludu, są także reprezentanci „ugodowców" zwanych „krajowcami", rezygnujących ze swej narodowości na rzecz „tutejszości". Rozmów wzajemnych, dyskusyi i polemik wiele, bardzo wiele, ale wplątane w rzecz zgrabnie wprawną ręką artysty nie obniżają wartości artystycznej utworu.

Czytelnik widzi, że separatyzm litewski gnieździ się wyłącznie w warstwach bardziej inteligentnych, a do ludu nie przeniknął wcale. I nie przeniknie nigdy, jak nigdy się nie przyjmie. Bo nie sposób złamać tego, co pięciowiekowe współżycie z Polską stworzyło, nie sposób cofnąć się do wieku XIV, uchwycić przerwany wątek własnej kultury i tworzyć ją dalej samodzielnie.

W czyim ręku przyszłość? Ani w ręku separatystów, ani w ręku „krajowców", ani tych, co pragną roztopienia się w morzu rosyjskiem. Instynkt poety przyszłość kraju związał z dziejami Kazimierza Rokszyckiego, dzielnego i przedsiębiorczego przedstawiciela Polski nowoczesnej, który spaja się węzłem małżeńskim z panią Krystyną, Litwinką z prastarego rodu, pełną zalet wielkich

serca i duszy. Na braterstwie dusz, w miłości serc budują oboje własny przybytek sobie i przekonaniom swoim.

Odnowione przymierze narodów i serc. Podstawą mu była: przekazana przez wiekowe współżycie wspólność celów i idei, prac i zamiarów, warunkiem: serdeczne zaufanie wzajemne, a przeświadczeniem najgłębszem: wiara w zwycięską dla wyznawanych zasad przyszłość.

Piękną i bardzo jasną Weyssenhoff dał powieść w bieżącym roku grunwaldzkim. Czy jednak rzeczywistość nie odbiegnie od marzeń poety?...

H. Wierzba.

Oszczędność.

Wszyscy ludzie pragną szczęścia na świecie ale nie wszyscy potrafią drogę sobie do niego utorować, a chociaż ono leży w ręku Boga, jednak w większej części od nas samych zależy. Uczciwość, praca i oszczędność, to ścieżki do niego prowadzące. Dziś pomówimy nieco o oszczędności.

Kto tę cnotę posiada, a wystrzega się zbytku, to jest, nie wydaje więcej nad konieczną potrzebę i wygodę, odmawia sobie wszystkiego, bez czego obejść zawsze się można. Oszczędność więc stoi między rozrzutnością a skąpstwem. Kto nie szanuje zarobionych pieniędzy i sypie niemi pełną garścią jak plewą, równie jest nierozsądny jak ten, co żałuje sobie na porządną odzież, zdrowe mieszkanie i pożywienie, na wsparcie bliźniego w potrzebie — choć sam posiada tyle pieniędzy, że jak to mówią, aż sypia na nich. Jedna i druga wada, tak z sobą sprzeczne, wiodą człowieka do złego. Rozrzutnik dogadza sobie zbytecznie, a słudze czasem zasług nie wypłaci; rzuca nieopatrznie groszem, aż wreszcie braknie mu go, więc pożycza od ludzi i nie oddaje: żyje przeto jak pasożyt kosztem drugich. Skąpiec znów, prócz uszczerbku, który sobie czyni, bywa zimny i obojętny na nędzę drugiego, zapominając, że choć pieniądz szanować trzeba, nie powinien on być uważany za bożyszcze człowieka.

Oszczędność jest siostrą pracy. Praca wiedzie do mienia, oczczędność niem dobrze szafarzy. — Sama praca nie zapewni nam dobrobytu, bo iluż widzimy ludzi zdrowych i pracowitych, którzy nie mają grosza na niezbędne potrzeby! A to dlatego, że nie umieją oszczędzać. Wielu jest robotników, co zarobek ładny uzyskawszy za tygodniową pracę trwonią go zaraz na trunek, karty, papierosy lub inne zbytki. Tacy i po trzydziestu latach pracy nic mieć nie będą. Inni zarobią tyle co tamci, ale poprzestają na małych rozrywkach, a resztę składają do kasy, z czego po dwudziestu latach zbierze się taka suma, że mogą sobie warsztat założyć i mają starość zapewnioną.

Wobec tego, że nikt nie wie, jakie go koleje życia czekają, bo dziś może ciągnąć dobre zyski, a jutro mu ich braknie, ta przezorność w oszczędzaniu stanowi dla rzemieślnika lub robotnika ochronę od niedostatku, dozwala mu przetrwać bezrobocie lub chorobę, a w razie skonu umiera w błogiej nadziei, że wypełnił wiernie obowiązki, co daje mu pociechę, że żony i dzieci bez środków do życia nie pozostawi. Ten zaś, co żyje z dnia na dzień, może każdej chwili popaść w nędzę i musi przyjmować takie warunki pracy, jakie mu inni narzucają, bo gdy mu chwilowo braknie zajęcia, nie może przeczekać i szukać sobie nowego, które byłoby mu odpowiedniem, lecz musi brać, co mu dają i biedować. Cnota oszczędności daje nam niezależność, zapewnia poważanie u ludzi, spokój wewnętrzny i zadowolenie. Ona też stworzyła rozmaite zakłady publiczne, jak n. p. kasy oszczędności, towarzystwa zaliczkowe i zabezpieczenia na życie, na stare lata, kasy bratniej pomocy na wypadek choroby i tym podobne.

Wielcy myśliciele sławili różnemi słowami tę zaletę. Ignacy Krasicki powiedział: — „Co ci los ujmie, to oszczędność ci przyda“ — a Andrzej Zamojski rzekł: „Pracuj tak, jakbyś miał umrzeć jutro“.

Pozostawili nam też nasi ojcowie przykazania oszczędności, zawarte w różnych przysłowiach:

„Oszczędnością i pracą, ludzie się bogacą“.

„Lepiej oszczędzić gotowego, niż szukać nowego“.

„Co masz zrobić jutro, to zrób dziś, a co masz dziś zjeść, schowaj na jutro“.

SIEDEM GÓR.

Było to ongi kiedy krew się lała i wojna szła z kosą śmierci.

Generał austryacki w przechodzie koło Tournay pyta chłopa francuskiego:

— Jak ty myślisz? Czy Niemcy pobiją Francuzów, czy Francuzi Niemców?..

— Jeśli Niemcy przejdą przez siedem wielkich gór, to pobiją Francyę.

— Jakich siedem gór?



Hej fujarko ukochana,
Graj wesoło, graj,
Drzewa w bieli, jak dziewica,
Istny wiosny raj.

— Siedem milionów ludu francuskiego, odrzekł wieśniak.

Gdy się o tej odpowiedzi dowiedział generał de la Fayete, obdarował mądrego chłopa hojnie...

Taką notatkę znaleźliśmy w gazecie Korespondent Warszawski 1803 roku.

Tych siedem gór możnaby dziś niejeden raz tym przypomnieć, którzy spodziewają się, iż potrafią wielomilionowy naród zniemczyć i zmoskwiczyć, którzy sądzą, iż duch narodu i jego siła da się tak zdobyć, jak zdobywa się kawał ziemi...

Są wielkie góry i twarde opoki...

Płomień.

Przemysł ludowy we Francyi.

Ruch emigracyjny ludności wiejskiej wzmaga się we wszystkich krajach Europy. Objaw to wcale nie pożądany z wielu względów, słusznie też uważany jest za klęskę społeczną. Ludność wiejska emigruje do miast, do krajów obcych Starego Lądu lub za ocean, bądź powodowana wrodzoną człowiekowi chęcią zaspokojenia ciekawości, bądź nęcona zdobyciem większego zarobku, bądź wreszcie wypędza ją z ognisk rodzinnych brak zupełny zarobku. Taka masowa emigracya osłabia siły ekonomiczne kraju, wytwarza stosunki anormalne. Już samo przeludnienie miast a wyludnienie się wsi wyprowadza z równowagi życie społeczne, a cóż dopiero mówić o emigracyi po za granice kraju, za ocean. Dla tego we wszystkich krajach tworzą się organizacye, z celem przeciwdziałania wychodztwu, w celu utrzymania ludności wiejskiej w miejscach rodzinnych. Główną troską tych organizacyi jest dostarczanie wsi większego zarobku, za pomocą podniesienia kultury rolnej i drobnego przemysłu. Środek ten istotnie najskuteczniej oddziaływa na emigracyę, zapobiega jej. We Francyi istnieje cały szereg takich organizacyi, a z pomiędzy nich wyróżniają się: Zjednoczenie Rolników oraz Związek Narodowy dla podniesienia przemysłu rolnego i ludowego. Na czele tego ostatniego stoją księżna d'Uzés i hr. Lecointre. Związek tworzy Komitety Prowincyonalne w całej Francyi, które starają się przedewszystkiem odnowić i rozwinąć dawne ogniska przemysłu, te mianowicie, które niegdyś były chlubą danej okolicy, a jednocześnie dostarczały dobrobytu jej mieszkańcom.

Związek rzeczony pracuje energicznie z dobrym skutkiem. Przekonano się, że dobry zarobek najpewniej przywiązuje ludność wiejską do ziemi rodzinnej, a także, iż zmysł przemysłowy wśród ludności wiejskiej jest tylko uśpiony, iż przy właściwej inicyatywie, pobudkach, pomocy i wskazaniach, łatwo go rozbudzić i wyrobić. W Bretanii, w Pirenejach, w Prowancyi, w Turenne, w Owernii i w wielu innych prowincyach zdołano już rozbudzić wśród ludu ruch przemysłowy, wskrzesić wytwórczość rękodzielniczą, z której ongi słynął. Szczególną gorliwość okazuje Komitet, pracujący w Owernii. Kieruje nim panna Bresiac, działaczka zaiste niestrudzona. Niedawno urządziła ona w Pontaumur Wystawę Przemysłu Ludowego, która zwróciła uwagę całej Francyi. Na Wystawie znajdowały się okazy wcale misternych koronek, wełniaków i innych tkanin, wyroby z drzewa i kowalskie. Wszystkie te okazy zalecały się nietylko dokładnością wyrobu, ale także cechowało je zacięcie artystyczne. Wystawcy przybrani byli w strój narodowy, gdyż francuskie organizacye ludowe starają się również obudzić i utrwalić wśród ludu zamiłowanie do tradycyi, do wszystkiego tego, co swoje. I w tym kierunku niemniej pomyślny osiągają skutek.

Bajka dla — pań.

U św. Piotra, odźwiernego bram niebieskich, dzisiaj przyjęcie i to dla pań — poobiednia kawa z ciastkami. Towarzystwo składało się z pięciu wesołych pań, które gospodarza swym szczebiotem zabawiały. Przyjęcie to odbywało się w przedsionku nieba, święty Piotr bardzo uprzejmy i — względny dla płci pięknej, byłby im chętnie otworzył wrota niebieskie, jakieś tam jednak skrupuły nie pozwalały mu tego jeszcze uczynić, ugaszczał je więc na razie — w przedsionku.

Jedna z pań — pani Emilia, poruszyła temat bardzo wzniosły: czem która z nich, jako gospodyni, matka i żona, na ziemi się wsławiła? Ach! jak też kobietki zaczęły czyny swoje i zalety przechwalać! „Cóż mogłoby być potrzebniejszego i lepszego“, zaczęła pani Anna, „jak staranie, ażeby mężowi i dzieciom podług sił we wszystkiem dogodzić, nie szczędząc pracy, smacznie im ugotować i w czas jedzenie podawać. Nie chcąc uchodzić za zarozumiałą, mogę was zapewnić, że czyniąc tak, jako żona i matka, byłam bez zarzutu i spełniłam na świecie moje zadanie.“

„Ja jestem przeciwnego zdania“, odpowiedziała pani Emilia wyniośle, „stanąć na równi wykształcenia i inteligencyi męża, ażeby być mu



Polowanie na wodne ptastwo.

miłą towarzyszką, umieć kierować dziećmi i kształcić je rozumnie — jest daleko ważniejszem dziełem, jak pospolite gotowanie i pieczenie ciast. Tak pojmowałam stanowisko moje na ziemi i zgodnie je spełniałam."

„Oh! czyż taka wykształcona, zarozumiała żona, doprawdy może mieć pretensye do pochwały, że wypełniła swoje obowiązki jako żona i matka? Przenigdy! zawołała zdenerwowana pani Julia. — „Ja staram się przedewszystkiem o to, ażeby mój mąż i dzieci byli zawsze czysto i ciepło w potrzebie ubrani, i ażeby mieli czyste zawsze, dobrze sprzątnięte i wywietrzone mieszkanie, bo to najpierwszy warunek do zdrowia. Wprawdzie śmiertelnie znużona, układam się codzień do snu, jednak szczęśliwą się czułam tą pewnością, żem tak sumiennie, wypełniła mój obowiązek."

„Do stu tysięcy kartaczy" — wpadła energiczna pani Albina na ostatnie słowa swej poprzedniczki" — „wy chcecie dowodzić żeście nadzwyczajnych dzieł dokonały? wy krótkowidzki coście się poddały tyranii rozumu, podniebienia, ubierania i szczotki i ścierki, wy się wynosicie jedna nad drugą? widzicie więc, że ani pojęcia nie macie, czem się ludzkości zasłużyć można, ani przypuszczacie, że zahartowany, przeciwko zmianom temperatury i niehygienicznej kuchni organizm właśnie jest podstawą najcenniejszą w życiu i zdrowiu, ale co wy zacofane wiedzieć o tem możecie? Niech żyje sport!" — tu uderzyła dość wielką rączką w stół tak silnie, że wszystkie filiżanki zabrzękły; „pływanie, jazda konna, gimnastyka, rower, oto co ja uprawiałam z moimi na wyścigi, nie dbaliśmy ani o jedzenie, ani o książki, ani o modę, a patrzcie tylko, jakich zdrowych i tęgich łobuzów wychowałam."

Na minutę cicho się zrobiło, a wszystkie cztery spoglądały na drobną postać pani Ludwiki, która jakby zawstydzona siedziała ze spuszczoną głową. Wobec tak wszechstronnej działalności swych towarzyszek oniemiała, pomimo uprzejmego i zachęcającego spojrzenia św. Piotra.

„No, ta skromność jest zbyteczną, muszę ja chyba stać się rzecznikiem tak wesołej zawsze pani Ludwiki" — powiedział wielki znawca rodzaju ludzkiego. — „Nasza kochana pani Ludwika ma niezrównaną a rządką cnotę: oto umie zawsze stosownie mierzyć! Mogłaby ona zupełnie słusznie odezwać się, jest tak jednak skromną, że nie przywięzuje do swej cnoty wiele zasług i sama sobie nie zdaje sprawy, ile dobrego jako żona i matka uczyniła. Oto, stworzyła ona swoim tak

miłe domowe ognisko, gdyż domowego spokoju nie zakłóciły nigdy szorstkie lub gwałtowne słowa. Jeśli ktoś starał się jej męża przed nią obmówić — od tego odwracała się w milczeniu. Jeśli znajome jej narzekały i opowiadały niestworzone rzeczy o swoich mężach, ona milczała, nigdy o swoim nie wspomniała, opowiadania o prawyczkach lub postępkach swego męża, uważała za coś uwłaczającego jej, chociaż pragnęła nieraz nowej sukni lub kapelusza, nie robiła scen mężowi — i nie oszukiwała jego żołądka, skrupulatnie liczyła dochody swoje: jeśli mogła co oszczędzić, ażeby sobie rzecz upragnioną kupić, to dobrze, w przeciwnym razie milczała. Jeżeli mąż w rozdraźnieniu będąc, rozgniewał się i niesłusznie chociaż jej dokuczał, milczała, lecz nie ze skrzywioną ze złości twarzą lub zalana łzami — nie milczała — wiedząc, że nadarzy się sposobność, że wszystko da się wyświetlić a on sam błąd swój uzna. Właściwie, zawsze nie milczy pani Ludwika! Na to, to ona jest za wesołą, za żywą, i za rozumną, ale zawsze umie poznać, kiedy milczenie jest właściwszem i rozsądniejszem. „A więc“, kończył św. Piotr, „o tem, która z moich miłych gości najlepiej wypełniła swoje zadanie na świecie — i była najlepszą matką i towarzyszką swego męża, ażeby nie stracić łask u moich miłych gości — i ja — wolę zamilczeć“!

Aeroplan

Rozwiązanie problematu latania. — Latanie ptaka i aeroplan. — Przyszły aeroplan.

(Dokończenie.)

W przyrodzie pomiędzy organami, a środowiskiem, w którem przeznaczone są pracować, istnieje pewna harmonia.

Na gruncie stałym dokonywa się ruch za pomocą sztywnych ramion (nóg), w wodzie z pomocą elastycznych i zmieniających formę ramion, w powietrzu rozszerzającem się i elastycznem środowisku za pomocą rozciągliwych i elastyczych ramion. Musimy przy naszych próbach latania kierować się tą zasadą, która wskazuje, że aeroplan nie jest ostatecznie doskonałym instrumentem w powietrzu.

Tymczasem nie ulega wątpliwości, że nie dawniej jak od roku aeroplan okazał się ostatecznie jako przyszły pan i mistrz w powietrzu; ale należy sądzić, że maszyna latająca już osiągnęła swoją ostateczną postać. Pomimo świetnych doświadczeń Wrighta, Garmana, Bleriota i innych można twierdzić, że dzisiejsze maszyny, w krótkim czasie, może już za kilka miesięcy, będą uważane za zupełnie wadliwe. Jest przeto interesującem zastanawiać się nad tem, jaki kształt aeroplan przyszłości mieć będzie, jakiej formy i budowy będą miały skrzydła i jaka będzie ich liczba.

Mamy zasadę oczekiwać bardzo wielkiej, przeprzekraczającej 200 km. na godzinę — szybkości. Przy takich prędkościach może siła odśrodkowa, jeżeli ona nawet w zupełności nie zniesie siły ciężkości, w każdym razie znacznie ją zmniejszy, dla tego rozmiary skrzydeł można będzie znacznie zmniejszyć. Ruch naprzód nietylko będzie towarzyszył sile wznoszenia się w górę, ale będzie ją wprost wywoływał.

W takich warunkach jedna powierzchnia złożona z jednej lub wielu par skrzydeł okaże się wystarczającą; także z punktu możliwego mniejszenia oporu ruchowi naprzód pojedyńczej powierzchi należy oddać pierwszeństwo.

Ze względu na podobny cel powinien też i kształt tułowia aeroplanu być gruntownie zbadany i należałoby się zgodzić na kształt wrzeciona tułowia Esnaulla-Pelterie i Pischoff-Köchlina. Co się tyczy kształtu, trzeba wybrać jako najwłaściwszy elipsoid lub pół elipsoid z zaokrąglonymi końcami i z zakrzywionym brzegiem ku przodowi, przy długości i szerokości 1.5 do 1 10. Brzegi skrzydeł powinny być jak najcieńsze, a powierzchnia jak najgładszą, żeby zmniejszyć szkodliwe opory. Wystawmy sobie taki korpus w locie. Dopóki motor pracuje wszystko idzie dobrze; ale co się stanie jeżeli motor naraz odmówi posłuszeństwa? Skrzydła, które stosownie do tego, co poprzednio było powiedzianem, zostały zredukowane do swego minimum, nie będą mogły już podtrzymać aeroplanu i ten musi spaść z większej lub mniejszej wysokości; gdyby nawet maszyna nie spadła na ziemię, ale gdyby przy normalnem wylądowaniu tylko dotknęła ziemi, rozbiłby się w kawałki, gdyż trudno sobie wyobrazić, jak poruszający się z prędkością 200 kilometrów na godzinę aeroplan mógłby dotknąć gruntu bez szkody. Aeroplan przeto musi jak to czynią Wright i Farman lądować w ruchu posuwającym się i ślizgającym. Dla tego celu musi przed postanowieniem lądowem powierzchnia skrzydła powiększyć się tj. musi rozwinąć się dotąd złożona nowa płaszczyzna skrzydeł jak to urządził Ador w swoim „Avionie“.

Otóż streszczając można powiedzieć, że aeroplan przyszłości będzie monoplanem z wielu parami skrzydeł, z których niektóre złożone będą mogły przylegać do tułowia maszyny, gdy ten osiągnie wysoki i szybki lot.



Mali karciarze.

U nas inaczej...

Głupota ludzka, czy zbytnia uprzejmość, nie wiem jak to nazwać, dość, że ktokolwiek baczniej przyjrzał się naszemu postępowaniu z obcokrajowcami, stwierdzić musiał, że na całej kuli ziemskiej niema narodu, któryby się odznaczał równą względem nich usłużnością, jak my polacy.

Niemiec, Francuz, Anglik, czy wreszcie inny przybłęda obcokrajowiec czuje się w kraju naszym lepiej i wygodniej, aniżeli u siebie w domu, a dzieje się to wskutek tego, że jesteśmy zbyt uprzejmi, grzeczni i usłużni, zaś zalety te, a raczej — jak na czasy obecne — wady, rozwijamy w sobie na korzyść cudzoziemców do niemożliwych granic. Niedość, że pomagamy przez grzeczność osiadać przybyszom na ziemi naszej, że sprzedajemy im najlepsze szmaty naszych pól, że inżynierowie nasi, dyrektorzy, majstrzy itd. zbytnią gorliwością nabijają panom tym kiesę — wszyscy, ale to niemal bez wyjątky, staramy się zaznajomić z ich językiem i przy pierwszej lepszej sposobności, potrzeba czy nie potrzeba — posługujemy się nim w rozmowie z danym cudzoziemcem.

Nie jest grzechem, a tembardziej szkodą władać kilkoma obcymi językami, występkiem atoli nie do darowania będzie, gdy znajomością ich zechcemy się popisywać, co gorsza — „umilać“ pogawędkę cudzoziemcom, którzy mowę naszą posiedli, a nie używają jej jedynie przez pogardę lub niechęć do „polskiej nacyi“.

Smutny lecz prawdziwy to objaw, że my występki takie popełniamy niemal że na każdym kroku. W wagonach tramwajowych, na ulicy, w domu itp. miejscach daje się to zauważyć.

Niedawno, bo zaledwie przed tygodniem jadąc na wieś miałem sposobność sam być świadkiem takiego lekceważenia mowy naszej w wagonie kolejowym.

Oto pewna dama, jak sama przyznała się do rudego Niemca jej sąsiada, Polka z urodznia, pomimo, iż z zapoczątkowanej rozmowy wywnioskować mogła, że jej współtowarzysz „Michałek“ dobrze włada językiem polskim, rozmawiała cały czas po niemiecku. Rozmawiała jego językiem, bo... no, bo my już zawsze tak!

Czy szwab bardzo był wdzięczny tej damie za jej usłużność, — nie wiem, to jednak pewna, że w duchu pomyślał sobie: „Głupia Polka!“

I miał racyę, zwłaszcza, gdy się zważy, że zarówno w jego kraju jak i gdzieindziej wymagają, aby cudzoziemiec, jeśli choć cokolwiek włada językiem danego kraju, w rozmowie stanowczo nim się posługiwał. — U nas zaś dzieje się inaczej.

Drobiazgi naukowe.

Nowy wynalazek Edisona.

W ostatnich miesiącach była działalność wynalazców amerykańskich wogóle ogromnie ożywiona. Prócz wspomnianych już wyżej, z nowym wynalazkiem — dość już dawno zapowiadanym — występuje Edison. Wynalazkiem tym jest nowa baterya elektryczna, o ogromnej intenzywności i sile, która — zdaniem samego wynalazcy — może sprowadzić przewrót w nowożytnych sposobach komunikacyi. Przed kilku dniami odbyła się w New Jersey oficyalna próba, celem stwierdzenia praktycznej wartości wynalazku. Baterye umasztowano w wozie tramwajowym, w którym zajęły miejsce dwadzieścia cztery osoby. Składała się ona z 210 komór, umieszczonych pod siedzeniami; 200 było przeznaczonych do poruszania wozu, 10 do oświetlenia. Baterya posiadała siłę 50 koni. Wprawiała ona wóz w ruch szybki i równy, znaczne nawet wzniesienia nie oddziaływały prawie na chyżość. Inżynierzy i elektrotechnicy obecni przy próbach oświadczyli zgodnie, że wynalazek ten spełnił wszystkie nadzieje, jakie w nim pokładał Edison i wszystkie oczekiwania, jakie do niego przywiązywano. O ile już dotąd stwierdzono, także koszt ruchu jest bardzo nieznaczny, wynosić on bowiem będzie przeciętnie 5 fen od osoby i mili. W najbliższych dniach odbędą się nowe próby.

Jedyną kwestyą, której sprawozdawcy amerykańscy dotąd nie poruszyli, jest ciężar bateryi. Nie wiadomo więc, czy jest to istotnie ów lekki akumulator, nad którym już Edison dość długo pracuje i od którego — jego zdaniem miała być zależna przyszłość samochodu, czy też baterya ciężka dość, lecz o ogromnej sile. Rozstrzygnięcie tej kwestyi musi wpływać nie mało na ocenę, jaką doniosłość mieć może nowy wynalazek.

Przewrót w dziedzinie oświetlenia.

Słynny wynalazca amerykański N. Tesla, który od lat nieomal dwudziestu pracuje nad t. zw. „zimnem światłem elektrycznem bez drutu“, rozwiązał niedawno ostatecznie problem, jaki sobie postawił i wydoskonalił swój wynalazek do ostatecznych możliwych granic. Jeden z redaktorów *New York Worlda* dotarł do pracowni genialnego Węgra i dopuszczony przed oblicze uczonego, który prócz pomocników pracy nie widuje prawie ludzi, zdołał zasięgnąć od niego pewnych szczegółów o wynalazku. Już dawniejsze rezultaty pracy Tesli budziły i w świecie uczonych i laików ogromną sensacyę; opowiadano cuda o olbrzymich piorunach i błyskawicach krzyżujących się między aparatami; opowiadano dziwy o łagodnem, bladem świetle zalewającem jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej całe laboratoryum. Obecny wynalazek jest dalszym krokiem naprzód, który może wywołać przewrót na świecie w dziedzinie oświetlenia. Najlepiej scharakteryzować go mogą własne słowa wynalazcy:

„Przy pomocy mojego źródła światła bez drutu mógłbym oświetlić całe Stany Zjednoczone. Prąd elektryczny będzie wychodził z aparatu, będzie się rozszerzał we wszystkich kierunkach na olbrzymiej przestrzeni i będzie rozświetlał lampy mojego systemu, budząc światło, przypominające silną zorzę północną. Będzie to światło łagodne, ale jednak dosyć silne, aby przy nim można dobrze rozróżniać przedmioty“.

Praktyczną próbę nowego wynalazku zamierza Tesla przedsięwziąć już w najbliższym czasie. Jako teren próbny obrał port nowojorski, który chce oświetlić na przestrzeni okrągło 100 mil angielskich.

„Jedna jedyna wielka stacya centralna — mówił wynalazca — będzie najtańszem i niebezpieczniejszem źródłem światła nigdy nie zawodzącego. Moje lampy nie wymagają naprawek, nie wymagają zastępowania ich innemi, ponieważ nic się w nich nie psuje, nic się nie spala. Są to proste kule szklane, hermetycznie zamknięte, zawierające rozrzedzony gaz“.



BOCIANY.

Dzieje kart do gry.

Mylnem było mniemanie, jakoby karty do gry wynalezione były we Francyi, dla rozrywki upośledzonego na umyśle króla Karola VI, przekonano się bowiem, że były one we Francyi znane o wiele wcześniej. Prawdopodobnie wynaleźli je Chińczycy; tak przynajmniej utrzymuje odwieczny „Słownik Czing-tse-Tunga", który nadmienia jeszcze, że już w r. 1130 były one rozpowszechnione w całych Chinach. Gry, podobne do karcianych, znały niektóre wschodnie narody starożytne, jak Lidyjczycy i Egipcyanie; w Europie wszakże karty zjawiły się dopiero podczas wypraw Krzyżowych. Pierwszą o nich wiadomość dokumentalną mamy w r. 1379. Wówczas to malarz włoski zapisał w kronice rodzinnego miasta swojego: „Wprowadzono do Viterbo grę w karty, pochodzącą z kraju Saracenów i zwaną naibi". Wątpić jednak wypada, aby Saraceni, którym religia Mahometa zakazuje wyobrażać ludzkie postacie, sami byli wynalazcami kart. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że na Wschodzie istniały dwa rodzaje kart: figurowe czyli kabalistyczne, które pierwotnie służyły do wróżby i kabały, oraz liczbowe, używane do gry.

W XVIII w. przypuszczano mylnie, jakoby karty dały początek drzeworytnictwu, bo karty w Europie są dawniejsze od wszelkich zabytków drukarskich i drzeworytniczych. Początkowo były rysowane i malowane odręcznie. Te karty malowane są dziś nadzwyczajną rzadkością. Malowidło na wielu z nich przypomina słynne średniowieczne obrazy „Tańca śmierci"; przedstawiają one: Papieża, cesarza, pustelnika (szaleńca), wisielca, koniuszego, tryumfatora, kochanka, księżyc i astrologów, słońce i Parki, sprawiedliwość, bogactwo, umiarkowanie, siłę, śmierć, sąd duszy i wieżę. Niejaki Lahire zreformował grę taroka: zamiast taneczników śmierci, wymyślił grę wojenną, mogącą być policzoną w poczet ćwiczeń wojennych, a to, żeby obejść rozporządzenie Karola VII, zabraniające pod karą pieniężną gry w karty, jako „mogącej odwodzić od ćwiczeń wojennych"; wprowadził więc, zamiast figur symbo-

licznych: czterech króli — żydowskiego, greckiego, rzymskiego i francuskiego; cztery damy, między niemi Marye d'Anjou, żonę Karola VII. Wtedy jeszcze gra w karty nie była rozpowszechnioną, gdyż karty malowane były bardzo kosztowne i stanowiły tylko możnych panów rozrywkę. Visconti, ks. Medyolanu, za jedną grę zapłacił malarzowi w r. 1430, sztuk złota 1500.

Wobec wysokiej ceny kart malowanych, zaczęto przemyśliwać nad sposobami produkowania ich taniej i szybciej; zdaje się, że naprzód zaczęto je odtwarzać przez patrony; wkrótce jednak drzeworytnictwo przyszło w pomoc fabrykacyi tego towaru, tak bardzo pożądanego, którego monopol odrazu zagarnęły Niemcy, a ogniskiem tego przemysłu stał się Ulm, skąd karty belami rozsyłano po całej Europie. Od drugiej połowy XV w., fabrykacya kart rytych na drzewie, a potem i na miedzi, rozpowszechniła się we wszystkich znaczniejszych państwach Europy. Zaletami artystycznemi odznaczały się karty, sztychowane na miedzi. Gra składała się z 52 kart, podzielonych na 4 serye, z których w każdej było po 9 kart punktowych, od asa do dziewiątki, i po 4 figury. Z czasem zaniedbano zupełnie sztychowania kart, poprzestając na drzeworytach, a figurom zaczęto nadawać rozmaite nazwiska, najczęściej z romansów rycerskich. Karol IX wprowadził nazwy królów: August, Konstantyn, Salomon i Klodaweusz, oraz królowych: Klotylda, Elżbieta, Pentazyela i Didona. Za Ludwika XIV, jako królowie karciani wystąpili: Cezar, Ninus, Cyrus, Aleksander, a jako królowe: Pompea, Semiramida, Roksana i Helena. Z polecenia rządu republikańskiego, malarz David zastąpił królów filozofami i poetami (Voltaire, Rousseau, Lafontaine, Moliere), królowe — cnotami republikańskiemi, waletów — alegorycznemi postaciami równości: stanów, praw, obowiązków i ras. Za Cesarstwa, Napoleon był królem kierowym, Józefina damą kierową, marszałek Ney waletem i t. p. Po r. 1813, Francya wróciła do kart z czasów monarchii, których typ archaiczny został urzędownie ustalony za Restauracyi i dotąd się utrzymał.

Format kart pierwotnie był rozmaity: mniejszy lub większy, taki, jak dziś, albo podługowaty, t. j. dłuższy wszerz, aniżeli wdłuż, wreszcie okrągły. Dzisiejszy ustalił się w XVI w. Karty z figurami podwójnemi, z pół-ciała, w górnej i dolnej części, pochodzą z Belgii. skąd przedostały się w r. 1828, a następnie rozpowszechniły się w całej Europie. W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej są karty w 4-ch kolorach francuskich, lecz ozdobione samodzielnemi figurami portretowemi lub fantastycznemi, widokami miast, krajobrazami i t. p. Karty angielskie, niemieckie, austryackie, rosyjskie wzorowane są na francuskich. Cesarz Wilhelm II wymyślił grę oryginalną: królami w tej grze są: Papież, król belgijski, król włoski i sam Wilhelm II, jako królowe zaś występują: Małgorzata włoska, Wiktorya angielska, cesarzowa Elżbieta i cesarzowa rosyjska; waletami są czterej prezydenci Rady Państwa. W Szwajcaryi figury karciane symbolizują 24 kantony. Włochy, Hiszpania i Portugalia utrzymały typ pierwotny kart tarokowych. W kartach hiszpańskich figury portretują najsłynniejszych toreadorów. W kartach greckich figury wyobrażają postacie z dziejów starożytnej Grecyi. Prześliczne są karty perskie, wytwornie malowane i złocone. Karty indyjskie malowane są na kości słoniowej; malowidła wyobrażają postacie ludzkie, zwierzęta i krajobrazy Wschodu. Karty chińskie, małe, wydłużone, są ozdobione figurami geometrycznemi. Karty japońskie, również małe, są ozdobione symbolami pór roku, a ich strona odwrotna jest czarna.

W Europie strona odwrotna kart, pokryta drobnym, kratkowanym lub kropkowanym rysunkiem, wprowadzoną została już za Henryka II w tym celu, żeby szulerzy nie mogli na niej robić swych znaków. Karty bowiem, które, jak się zdaje, służyły początkowo za zabawkę dla dzieci i za niewinną rozrywkę dla starszych, bardzo rychło zmieniły się w narzędzie gier hazardowych i oszukańczych. Oszuści karciani dochodzą w swej sztuce nikczemnej do mistrzowstwa. Niektórzy, pomeksując końce palców, wyrabiają sobie taką czułość, że za dotknięciem przy rozdawaniu kart, poznają je. Pewien szuler stawiał przed sobą tabakierkę złotą, tak doskonale wypolerowaną, że karty spółgraczy odbijały się na jej powierzchni wyraźnie. To znów szulerzy przygotowują sobie nakałane nieznacznie z odwrotnej strony itp.

Karty wkrótce stały się nieszczęściem społeczeństw. Namiętność hazardu tak wzrosła, że rządy prawie wszędzie musiały występować z surowymi środkami represyjnemi. Już w r. 1397, burmistrz Paryża zabronił rzemieślnikom w dni robocze grać w karty. W r. 1404, Synod w Langres zabronił gry karcianej duchownym. W r. 1423, św. Bernard z Sienny, stanąwszy na schodach kościoła św. Petroniusza w Bolonii, z taką siłą przemówił przeciw grom hazardowym i tak wielkie na słuchaczach wywarł wrażenie, że każdy biegł do domu po karty, kości, szachy, aby je spalić natychmiast na placu publicznym. Również w Paryżu, w r. 1429, na przemówienie O. Ryszarda, Franciszkanina, przeszło sto ognisk wzniecono na

ulicach miasta, spalono na nich karty, oraz wszelkie narzędzia gier ruinujących. Obecnie gry hazardowe są zakazane w całej Europie, z wyjątkiem osławionego Monako, gdzie też ruinują się szaleńcy, przybywający tam z całego świata, bardzo często kończąc samobójstwem. Trudno zrozumieć, jak cywilizacya może pozwolić na prowadzenie wysoce zbrodniczego celu jawnie i otwarcie.

Karty służyły i służą nietylko do gry, ale także do kabały, tj. do wróżenia. Poczynając od XVIII w., słynęły kabalarki: Zofia Lhuillier de Puget, która przepowiedziała Stanisławowi Poniatowskiemu królestwo, i Le Normand, która wywróżyła ks. Józefowi śmierć w Elsterze. Z kabały wytworzyła się zabawa karciana, zwana pasyansem, którego istnieją najrozmaitsze rodzaje, znane i u nas, jak: Grób Napoleona, Kapral, Krzyż, Piramida, Gwiazda, Wachlarz, Kramarz, Chorągiew, Słońce, Walter-Scott, Wiatrak itp. Używano też kart do różnych sztuk kuglarskich, w których ongi celowali: Pinetti, Bosko, Frikel inni. Posługiwali się kartami nawet sławni matematycy, jak np. Bichel de Meziriac, do układania bardzo ciekawych zagadnień, i pedagogowie, jak Tomasz Merzier, który używał kart przy wykładaniu logiki.

Do nas karty, jak wiele innego złego, przeszło od Niemców, stąd nazwy figur i kolorów spolszczono z niemieckiego. Oryginalnych kart polskich nie znamy. Nie wielka to szkoda.

Rady dla młodej kobiety.

— Jeżeli znajdziesz w życiu przyjaciółkę, którą uznasz godną twego zaufania, jużto dla jej religijności, jużto dla jej silnych zasad moralnych lub innych przymiotów, zbadaj nasamprzód czy ona posiada rzeczywiście takie przymioty. Jeżeli się o tem przekonasz, zaufaj jej w zupełności... Nie radzą ci jednak posiadać więcej takich przyjaciółek, niż jedną, albowiem są one rzadkimi wyjątkami. Jedną taką mieć — jest już szczęściem i darem Boga, którego trzeba gorliwie szukać i troskliwie utrzymywać przy sobie...

— Jeżeli śpisz 8 godzin, winno ci wystarczyć; więcej spać jest zbyteczne, wyjąwszy chorobę lub stan odmienny. Wstawaj zawsze szybko z łóżka i odmawiaj mo litwy poranne...

— Pozostawiaj swego męża jak najmniej w samotności. Za odrobinę przymusu może z nudów otrzymasz spokój na całe życie. Idź za nim wszędzie, ale strzeż się stać się mu ciężarem. Staraj się przedewszystkiem pożytecznie i wiele z nim rozmawiać i w ten sposób przywiązać go do siebie.

— Bądź litościwą, hojną i dobrą, ale w miarę. Strzeż się rozdawać więcej, niż jesteś w stanie. Strzeż się przed lekkomyślnemi zakupami sukien, koronek ozdób i innych przedmiotów. Rzeczy te winny być wyrabiane w kraju, *nie kupuj nigdy nic obcego.*

— Unikaj nawet pozoru kokieteryi. U zamężnej kobiety nie jest już to niewinnem, co niewinnem jest u młodego dziewczęcia. Wstrętną jest chęć przypodobania się przy pomocy wyszukanych strojów. Nie mówię nawet o nieprzyzwoitych i głęboko wyciętych sukniach, ale nie powinny być one nawet przesadne i uderzające. Nie należy takze zbyt się sobą zajmować i całemi godzinami przesiadywać przy toalecie.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Chłopiec z nad Warty.

Jestem chłopiec zuch z nad Warty
Lubię figle, psoty, żarty,
Ale choć się tem nie chlubię
I naukę również lubię.
A po lekcyach, hen, ku rzece,
Wnet swobodny chętnie lecę,
Biegnę, lecę jak to ptaszę,
Na te błonia, łąki nasze.
I gawędzę z naszą rzeką,
Co to płynie hen, daleko,
Szeptu fali słucham chciwie,
Bo mi szepce dziw po dziwie.
O rycerzach, panach, królach,
O zwycięstwach i o bólach,
I o Polsce naszej dawnej,
Tak walecznej, wielkiej, sławnej.
Czasem w rzece coś się skłębi,
Jakby płacz się wydarł z głębi
I znów rzeka gwarzy z cicha:
„Źródło moje nie wysycha.
Hej, obetrzyj łzy twe, dziecię
I wy kiedyś odżyjecie,
Miną złe te czasy, miną,
Popłynę wolną krainą!“
Tem pragnieniem, wolą wsparty
Ja, drobny chłopiec z nad Warty,
Chcę wszelkiej pracy dołożyć,
By jasnej chwili tej dożyć!

Paula Wężyk.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Na statku zapanowało przerażenie. Każdy się obawiał samotności, nietylko w swej kajucie, lecz i na pokładzie, w miejscach więcej oddalonych. Wszyscy przezornie grupowali się w kółka. Instynktowa nieufność dzieliła nawet bliższych znajomych. Postrachem ogółu nie była już jednostka odosobniona, śledzona i przez to mniej groźna. Arseniusz Lupin obecnie był to... był to każdy z nas. Podniecona wyobraźnia obdarzała go siłą cudowną, nieograniczoną. Przypisywano mu zdolność przybierania różnych postaci: raz był to szanowany major Rawson, to znów szlachetny markiz de Raverdan, albo wreszcie ktoś całkiem inny — nie krępowano się już początkową literą nazwiska. Posądzenie nie oszczędzało nawet osobistości znanych powszechnie, lecz też podróżujących w towarzystwie żony, dzieci, służby.

Pierwsze depesze, które przyniósł telegraf bez drutu, nie zawierały nic nowego. Przynajmniej kapitan nic nam nie powiedział. Oczywiście podobne milczenie uspokoić nas nie mogło.

Nadszedł ostatni dzień podróży. Zdawało się, że się nie skończy nigdy. Przeżywaliśmy go w atmosferze niepokojącego wyczekiwania.

Nieszczęście było nieuniknione. Tym razem nie szło już o kradzież, o zwykły napad, lecz o zbrodnię, o morderstwo. Nikt nie przypuszczał, aby Arseniuszowi Lupin wystarczyły dwie nie znaczące kradzieże. Był absolutnym panem statku, potęgę władz mógł sprowadzić do zera. Mógł rozporządzać życiem i mieniem wszystkich, stosownie do swej woli. — Wszystko było na jego rozkazy.

Wyznaję, dla mnie osobiście były to chwile pełne rozkoszy, ułatwiły mi bowiem zdobycie zaufania miss Nelly. Wzruszona tylu niezwykłymi wypadkami, zbliżyła się ku mnie, jakby szukając osłony. Czułem się szczęśliwym, że mogę ją swą opieką otoczyć.

W głębi ducha błogosławiłem Arseniusza Lupin. Czyż to nie on nas zbliżył? Czyż nie dzięki jemu miałem prawo puścić wodze najpiękniejszym marzeniom? Marzenia o miłości nie były tak urojone jak się wydawać mogło. Czemużbym tego wyznać nie miał? Rodzina d'Andrézy pochodzi z dobrego gniazda, z Poitou, lecz złoto już zeszło z ich tarczy herbowej. Czyżby chęć przywrócenia nazwisku dawnej świetności była niegodną prawdziwego gentlemana?

Marzenia moje — czułem to dobrze — nie raziły miss Nelly. Uśmiech jej oczu pozwalał mi snuć je dalej. Słodycz głosu obiecywała nadzieję. Do ostatniej chwili staliśmy obok siebie, oparci o poręcz pokładu. Przed nami, coraz wyraźniej, majaczyła linia amerykańskich wybrzeży.

Przerwano poszukiwania. Czekano. Czekano wszędzie, zaczynając od pierwszej klasy, kończąc na pomostach, gdzie się mrowiło od emigrantów. Czekano chwili stanowczej, która miała przynieść rozwiązanie palącej zagadki.

Kto był Arseniuszem Lupin? Pod czyim nazwiskiem, pod jaką postacią się ukrywał?

Chwila ta nadeszła. Gdybym miał żyć sto lat, jeszcze nie zapomnę najdrobniejszego szczegółu tej sceny.

— Jaka pani blada, miss Nelly — zwróciłem się do swej towarzyszki, która cała drżąca, oparła się na mym ramieniu.

— A pan! — odparła — pan także bardzo zmieniony!

— Cóż dziwnego, chwila jest tak przejmująca — szczęśliwy jestem, że ją przeżywam obok pani, miss Nelly. Zdaje mi się, że w przyszłości myśl pani zatrzyma się niekiedy...

Nie słuchała mnie, drżąca, rozgorączkowana... Przerzucono kładkę. Zanim jednak pozwolono pasażerom opuścić statek, tłum ludzi wdarł się na pokład: byli tam urzędnicy komory celnej, policyanci w mundurach, agenci.

Miss Nelly szepnęła:

— Gdyby się okazało, że Arseniusz Lupin znikł niepostrzeżenie, wcale nie byłabym zdziwioną.

— Może wolał śmierć niż niesławę i pogrążył się w nurtach Atlantyku.

— Nie żartuj pan! — przerwała podrażniona.

Nagle drgnąłem. Gdy mię zapytała o powód wzruszenia, odparłem:

— Czy widzi pani tego małego staruszka na samym końcu kładki?

— Z parasolem w ręku, w oliwkowym surducie?...

— To Ganimard.

— Ganimard?

— Tak, znakomity agent śledczy, który przysiągł, iż osobiście zaaresztuje Arseniusza Lupin. A, teraz pojmuję, dlaczego z tej strony Oceanu nie przychodziły żadne wiadomości.. Ganimard

był tu, a on nie lubi wtajemniczać obcych w swe sprawy.

— Teraz Arseniusz Lupin może być pewnym, że będzie ujęty?

— Niewiadomo. Zdaje się, iż Ganimard widywał go zawsze tylko w przebraniu... chyba, że wie, pod jakiem się ukrywa nazwiskiem...

— O! — zawołała z wrodzoną kobietom okrutną ciekawością — jakżebym chciała być obecną przy aresztowaniu!

— Cierpliwości. Niewątpliwie Arseniusz Lupin zauważył już obecność swego wroga, postara się pewnie wyjść na samym końcu, gdy oczy starca będą znużone.

Pasażerowie zaczęli tłumnie opuszczać statek. Ganimard oparty na kiju parasola, z miną najobojętniejszą w świecie, zdawał się nie zwracać uwagi na ciżbę, tłoczącą się między dwoma poręczami. Zauważyłem, że oficer służbowy stojący tuż za nim od czasu do czasu udzielał mu objaśnień.

Markiz de Raverdan, major Rawson, włoch Rivolta, przesunęli się mimo agenta. Za nimi poszli inni, wielu innych.

Spostrzegłem nadchodzącego Rozaine'a.

Biedny Rozaine! Nie odzyskał jeszcze równowagi po doznanych ciosach.

— A jednak, może to on — odezwała się miss Nelly. — Jak pan sądzi?

— Sądzę, że wartoby mieć na jednej fotografii Ganimard'a i Rozaine'a. Niech pani weźmie aparat — jestem tak obładowany.

Podałem jej kodak, lecz zapóźno. Rozaine już przeszedł. Oficer szepnął coś do ucha Ganimardowi.

Stary agent wzruszył lekko ramionami. Rozaine'a nie zatrzymano.

W takim razie, któż był Arseniuszem Lupin?

— Tak — powtórzyła głośno miss Nelly — kto jest Arseniuszem Lupin?

Na pokładzie pozostało najwyżej osób dwadzieścia. Obserwowała ich po kolei, ogarnięta nieokreśloną, niejasną trwogą, że jego w liczbie tych dwudziestu nie będzie.

Rzuciłem:

— Nie możemy czekać dłużej.

Powoli ruszyła naprzód. Poszedłem za nią. Wtem, Ganimard zagrodził nam drogę.

— Co to znaczy? — zawołałem.

— Chwilę, szanowny panie. Co pan tak nagli?...

— Towarzyszę pani.

— Czekaj pan — powtórzył głosem nakazującym posłuszeństwo.

Przyjrzał mi się bacznie, a potem, wlepiając oczy w moje źrenice, rzucił:

— Arseniusz Lupin, nieprawdaż?

Parsknąłem śmiechem.

— Nie, panie, tylko Bernard d'Andrézy.

— Bernard d'Andrezy umarł przed trzema laty w Macedonii.

— Gdyby Bernard d'Andrézy był umarł i mnie by na świecie nie było. A — jak pan widzi — jest wręcz przeciwnie. Oto moje dokumenty.

— To są jego dokumenta. Jakim zaś sposobem przyszedłeś pan do ich posiadania, będę miał przyjemność wkrótce panu opowiedzieć.

— Ależ pan oszalałeś! Arseniusz Lupin wsiadł na statek pod przybranem nazwiskiem p. R...

— To także jeden z pańskich kawałów. Chciałeś pan zmylić ślady. Ho, ho, spryciarz z pana nielada! Tym razem jednak szczęście się odwróciło. No, panie Lupin pokaż pan co umiesz!

Wahałem się chwilę.

Krótkim ruchem ręki Ganimard uderzył mię w prawe przedramię.

Krzyknąłem z bólu. Dotknął rany jeszcze nie zagojonej, rany, o której wzmiankował telegram.

Należało poddać się losowi. Zwróciłem się ku miss Nelly.

Ledwie trzymała się na nogach, blada jak papier, wsłuchana.

Oczy jej spotkały się z mojemi, potem opuściły się na kodak, który jej przed chwilą wręczyłem Poruszyła się gwałtownie.

Miałem wrażenie, nie, miałem pewność, że nagle zrozumiała wszystko.

Tak, to tam, między cienkiemi ściankami z jaszczuru, wewnątrz małego przyrządu, który złożyłem w jej ręce, nim mię Ganimard zdążył zatrzymać, znajdowały się franki Rozaine'a, perły i brylanty Lady Jerland.

O, przysięgam, w tej chwili tak ważnej, gdy Ganimard i jego towarzysze mnie otoczyli, wszystko na świecie było mi obojętnem... i uwięzienie i niechęć ludzka, wszystko, wszystko, z wyjątkiem jednej, jedynej rzeczy: co zrobi miss Nelly z przedmiotem, który jej powierzyłem.

Było mi zupełnie obojętnem, czy ten dowód rzeczowy, a tak obarczający, świadczyć będzie przeciwko mnie — szło mi o to tylko, czy miss Nelly dowodu tego dostarczyć im zechce!

Czy ona mię zdradzi? Czy zgubi? Czy postąpi jak wróg nieprzejednany, czy też jak kobieta, pamiętająca o chwilach, przeżytych wspólnie? Czy odrobina mimowolnej sympatyi złagodzi pogardę, zabarwi ją pobłażaniem?

Przeszła koło mnie. Bez słowa złożyłem ukłon głęboki. Wmieszała się w tłum podróżnych, kierując się ku kładce. Kodak mój trzymała w ręku.

— Stanowczo, krępuje ją publiczność — myślałem. Odda go im za godzinę, może za chwilę.

Nagle, w samym środku kładki, niby niechcący, upuściła go w wodę. Znikł między ścianą murowanej grobli, a bokiem statku.

Patrzyłem za odchodzącą.

Śliczna jej sylwetka zginęła w tłumie, znów mi się ukazała i znów zniknęła. Skończone! Skończone na zawsze!

Chwilę stałem bez ruchu, smutny, przejęty słodkiem wzruszeniem. Z piersi mej wyrwało się głębokie westchnienie. Potem, ku wielkiemu zdumieniu Ganimard'a, rzuciłem:

— A jednak szkoda, że nie jestem uczciwym człowiekiem!..

Temi słowy Arseniusz Lupin opowiadał mi pewnego wieczora o swym uwięzieniu. Dziwny zbieg wypadków, o których kiedyś napisze osobną powieść, zadzierżgnął między nami węzły... dajmy na to, przyjaźni.

Tak, mam odwagę wierzyć, iż Arseniusz Lupin zaszczyca mię pewną przyjaźnią; że to przez przyjaźń, od czasu do czasu, wpada do mnie niespodziewanie, wnosząc do ciszy mej pracowni, wdzięk młodości, odblask wytężonego życia, dobry humor człowieka, któremu los nie szczędził powodzenia i uśmiechów.

Mam nakreślić jego portret? Czy potrafię? Widziałem Arseniusza ze dwadzieścia razy, lecz za każdym razem wydawał mi się kimś innym... a raczej był to ten sam człowiek, odbity w dwudziestu różnych zwierciadłach, dających najrozmaitsze obrazy; każdy miał właściwe sobie spojrzenie, wyraz twarzy, ruchy, sylwetkę i charakter.

— Ja sam dobrze nie wiem — mówił do mnie — który obraz jest prawdziwy. Nie poznaję siebie w lustrze.

Blaga i parodoks, powiecie, lecz zarazem prawda. Prawda dla tych, którzy go spotykali, lecz nie mają pojęcia o nieskończonym zasobie środków, jakiemi rozporządza: o bezgranicznej cierpliwości, artyzmie w użyciu szminek, cudownej zdolności zmieniania wzajemnego stosunku i charakteru rysów, przekształcania wyrazu, a nawet wymiarów twarzy.

— Pocóż mi mówił — jakiś wygląd stały? Dlaczegoż nie uniknąć niebezpieczeństwa, na jakie naraża człowieka niezmienna tożsamość osobistości? Czyny moje określają mnie dostatecznie.

Potem dodał z odcieniem dumy:

— Tem lepiej dla mnie, jeżeli nikt nie powie nigdy z zupełną pewnością: Oto Arseniusz Lupin. Główna rzecz, niech twierdzą bez cienia wątpliwości: Oto dzieło Arseniusza Lupin.

Właśnie o tych dziełach, o przygodach niezwykłych zamierzam mówić. Czerpać będę ze zwierzeń, czynionych mi niekiedy w zimowe wieczory przy kominku, w ciszy mojej pracowni.

Arseniusz Lupin w więzieniu.

Każdy turysta, godny tego imienia, zwiedzając brzegi Sekwany, zauważył niewątpliwie ciekawy zamek feudalny Malaquis, dumnie usadowiony na skale, sterczącej ponad samą rzeką. Malaquis leży pomiędzy ruinami Jumièges i Saint-Wandrille. Łuk mostu łączy go z traktem. Ciemne wieżyczki zdają się wyrastać z granitowej podstawy — olbrzymiego bloku, rzekłbyś, oderwanego od łańcucha gór, rzuconego tutaj przez potężny kataklizm przyrody. U stóp skały cicho szemrze toń rzeki, zarośniętej trzcinami. Na wilgotnym żwirze igrają ruchliwe pliszki.

Historya zameczku Malaquis, jest równie posępna jak jego nazwa, a surowa i dzika jak jego zarysy.

Same walki, oblężenia, szturmy, łupiestwa i mordy.

W prowincyi Caux opowiadania wieczorne obracają się zwykle dokoła popełnionych tu zbrodni. Dreszcz grozy przenika słuchaczy. Przechodzą do tajemniczych legend. Mówią o sławnym podziemiu, które prowadziło niegdyś opactwa Jumièges do siedziby Agnieszki Sorel, pięknej kochanki Karola VII.

W tej odwiecznej kryjówce bohaterów i bandytów zamieszkał baron Natan Cahorn, baron Szatan, jak go niegdyś przezwano na giełdzie, gdzie się wzbogacił nieco za szybko. Zrujnowani panowie na Malaquis dla kawałka chleba sprzedali mu dawne dziedzictwo przodków.

Baron Natan umieścił tutaj swe wspaniałe meble, przepyszne zbiory obrazów, majoliki i rzeźby w drzewie. Zamieszkał sam z trzema staremi sługami.

Nie przyjmował nikogo. Nikt nigdy nie podziwiał trzech arcydzieł Rubensa ani dwu pieścidełek Watteau, zdobiących staroświeckie ściany; nikt się nie zachwycał wspaniałem dziełem Jana Goujon i wielu innemi cudami, które baron, sypiąc hojnie złotem, wyrwał z rąk zawodowym licytantom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR 14

(Ciąg dalszy.)

Zamilkli.

Karol na wspomnienie Bohdanka westchnął po swoim Staszku. Nie wiedział nawet, co się z nim teraz działo. Musiał go zostawić w Częstochowie, ale chłopię wierne dognało go później w Dreznie, towarzyszyło wszędzie i dopiero w Paryżu, przestraszone długą morską podróżą, wahać się poczęło.

Karol widząc go smutnym, sam się postarał zostawić go we Francyi.

Staszek miał wrócić do Skały... wahał się jednak.

Głos kapitana Leclerc komenderującego mięszał się z szumem wichru, pluskiem fal coraz rosnących, ogromnych, spienionych; z chrzęstem masztów i drzewa w samych wnętrznościach statku.

Majtkowie zwijali się żywo, mrok zapadał, burza nadciągała widocznie. Niekiedy w dali błyskawica, jak wstęga złota przerżnęła czarne obłoki i piorun przeleciał jak wąż w przepaście, to znowu cichło, milczenie groźne dawało słyszeć nowy ryk nadchodzącej burzy, która rosła, wzmagała się, wyła i ustawała jakby sił do nowych szałów nabrać potrzebowała.

Milczenie naówczas straszniejszem było od szumów i wycia.

Wśród nadchodzącej wrzawy... z pod pokładu dobył się nagle na wierzch człowiek szpakowaty, ospowaty, niemiłej choć usiłującej przymilić się twarzy, małych oczek krecich, rysów ruchawych pulczynella, suchy, żylasty. Oparł się łokciami o deski, wystawił głowę zaspaną, obejrzał do koła, a obaczywszy chmury i poczuwszy wicher, który go opoliczkował, wyskoczył zaniepokojny na pokład.

Był to Gaskończyk, kapitan Girot, płynący jako towar do Ameryki, typ oryginalny człowieka na sprzedaż... który tak wysokie miał, a przynajmniej okazywał o sobie wyobrażenie, iż mu się zdało, że byle dotknął stopą ziemi nowego lądu, a zagadać raczył do Washingtona, Amerykanie go złotem obsypią i na rękach nosić będą.

Girod roił o świetnej przyszłości. Ale burza w pobliżu lądu, a jeszcze nocą, przeraziła go niepomału, począł się obawiać o drogą swą osobę, zachmurzył i pobiegł do zasępionego Leclerca.

— Kapitanie! czy jest niebezpieczeństwo? na miły Bóg! czy jest niebezpieczeństwo?

Francuz nic nie odpowiadając nawet, ręką rzucił w powietrzu zniecierpliwiony, pozbywając się natręta.

— Burza, burza nadchodzi widocznie, ja się znam na tem, jak na innych sprawach... wy to wiecie! A właśnie jesteśmy nieopodal od brzegów, nuż nas rzuci o skały, lub osadzi na mieliźnie.

Leclerc odpędził go gniewny, rozkazując mu niegrzecznie iść do stu tysięcy dyabłów. Naówczas przerażony Girod, czując w niebezpieczeństwie niepohamowaną potrzebę wygadania się, obrócił się do garstki Polaków.

Można sobie wystawić, jak ta samochwalcza, awanturnicza postać wstrętną była dla Pułaskiego; rad się jej pozbywał aby jak najmniej o tę żywą antithezę ocierać.

Ale Girod umiał być natrętnym aż do głuchoty i ślepoty dobrowolnej. — Dopadł do nich łamiąc ręce.

— To bałwan ten kapitan, on nas wszystkich pogubić może! Co panowie myślicie? To nie są żarty! Leclerc mruk ani się odezwie, prawdziwy rekin morski, czuję grożące niebezpieczeństwo.

Wszyscy milczeli.

— Śliczna rzecz! przepłynąć ocean, nadławić się morską chorobą a na brzegu dać nurka! Gdybym był wiedział, co się stanie... byłbym został w San Domingo... poczekał na inny statek.

— Z nim ani pogadać, ani mu poradzić! Żeglowałem nie po jednem morzu... pod noc w burzę... nad brzegami...

Gdy Gaskończyk tak narzekał maszty coraz mocniej trzaskały gięte od wichru, burza rosła, statek obnażony z płótna, rzucany falami kołysał się, przechylał, skakał po pełnem morzu, na łaskę wiatru i wody oddany.

Miotało nim już tak, że ludzie na pokładzie choć nawykli do tych skoków, musieli się oburącz trzymać lin i drzewa, aby ich fala i wiatr nie zniosły.

Bałwany coraz groźniejsze przeskakiwały statek, porywając z sobą co spotkały; Gaskończyk schronił się pod ławę klnąc i płacząc, nikt na niego nie zważał.

Noc stawała się co chwila czarniejszą, przepaścistszą, zstąpiła z chmurami gęstemi, zdając się niebo przechylać tak iż nad masztami zawisło. Nakoniec lunął deszcz ulewny a raczej strumienie wody rzuciły się z obłoków rozerwanych, pioruny bić zaczęły, a błyskawice nieustanne oślepiać.

Na pokładzie cisza była uroczysta, ludzie zmaleli, tulili się jak robaczki po okrętu szczelinach. Każdy z nich zajmował swe miejsce milczący, z okiem wlepionem w linę, w mast w pompę, gdzie stał i co mu oddano do straży. Kapitan jak wrosły do deszek, niemy, obojętny, zimny, patrzał na ten szał żywiołów nie nowy dlań z zimną krwią, z chłodną powagą starego marynarza... który nie jeden orkan przebył na chińskich i japońskich wodach.

Burza choć gwałtowna, nie była wszakże tą trąbą, porywającą i druzgocącą wszystko, z której cudem chyba statek wyjść może cało. Kładła ona okręt, rzucała go w przepaści, miotała nim w górę, ale walczyć z nią mógł rozum, męztwo i doświadczenie człowieka.

— I ta burza u brzegów to także nie najlepsza dla nas przepowiednia — rzekł Pułaski.

— Ktoby powiedział — szepnął Rogowski — że, jak mi Bóg miły, kochany wódz wierzysz w te banialuki. Co ma za związek burza amerykańska z losem polskich wygnańców?

Ot to bieda — dodał — że zasnąć będzie trudno, bo hałasuje dyabelnie i z łóżka wyrzucić może... a ta noc wyda się, jak czterysta lat długą.. Czeluści czarne... chmurzyska gdyby całuny.

Girod jęczał i klął na przemiany.. modlił się nawet po cichu, na wszelki przypadek, gdyby gdzie jaki Pan Bóg się znalazł, choć w pogodę zwykł był chlubić się ateuszowstwem... Niekiedy głowę podniósł, w niebiosach szukając nadziei, to znów chował ją ze strachu.

Wściekły wicher okręt pędził, miotał nim, jak dziecinną zabawką. Były chwile, że statek pochylony zdawał się wywracać i tonąć, to znów wzlatywał, odbity na grzbiecie fal i wyskakiwał w powietrze... i wpadał w przepaście.

Szerokie błyskawice wszystko się zdawały zapalać do koła, ale w ich blasku nie było widać nic, oprócz piętrzących się fali i białej piany, która je obrębiała.

Niekiedy otwierała się jakby paszcza ogromna, spieniona i zdawała chcieć pożréć statek.. oblewała pokład, przelatywała przezeń i biegła dalej...

— Zważcie, proszę — rzekł, przysuwając się Girod — co za los mój! już miałem zapewnione szczęście, bylem się tylko na ląd dostał... a tu... sądny dzień... to nie obejdzie się bez katastrofy. Jeszczem takiej burzy na morzu nie widział.

— A ta, co nas chwyciła u Antyllów — spytał Rogowski.

— Tamta! to była zabawka w porównіu do tej piekielnej nocy.

— Prawda — dodał Pułaski po polsku — że to noc jarząbkowa — wszakże tak, panie Macieju? u nas się tak te błyskawiczne nocy nazywają.

— Ale wiem, jarząbkowemi lub Eliaszowemi.

— Na Rusi — dodał z westchnieniem Pułaski.

Girodowi w biedzie gęba się nie zamykała, ale go nikt nie słuchał.

— To już fatalność jakaś! — wołał — służyłem Frzyderykowi Wielkiemu i tam mi dyabeł przeszkodził do jeneralskich szlifów, choć stary Fryc poznał się na mnie i cenił; służyłem potem w austryackich dragonach i z tamtąd mnie intrygą wypchnięto, gdym już pewny był awansu. Żałuję teraz, żem nie dostał się, jak chciałem, do Petersburga... jest to kraj dziewiczy, potrzebują ludzi, jak ja... do wszystkiego zdolnych... byli by mnie obsypali... a morze nie było do przebycia.

Gaskon mówił sam do siebie, burza głuszyła jego paplanie.

Karol nie mogąc wysiedzieć bezczynnie, poszedł się kapitanowi ofiarować do jakiej roboty... i otrzymał zlecenie dozorowania ludzi przy pompie na dnie.

Burza zawsze jeszcze zdawała się zwiększać i rosnąć.

Pułaski niezmrużonem okiem patrzał na migocące błyski i bijące pioruny, płonęło od nich powietrze... oślepiały chwilami. Uderzający grom w bliskości wyrywał źrenice, a ciemność nieprzebita, odchłanna, długo nic rozpoznać nie dawała.

Świat się palił wśród potopowej ulewy a mimo grozy tego widoku był on wspaniałym i wielkim. Światłości i ciemności składały się na obraz, jakiego wyobraźnia stworzyć nie może, coraz różny, coraz groźniejszy.

Błyskawic światło odbite w falach i rozprysłych kroplach, jakby iskier tysiącem obsypywało statek.

— Majestatyczny widok daje nam ocean na pożegnanie — odezwał się cicho Pułaski — ale co za upokarzające położenie człowieka, który w obec śmierci nie może walczyć, z założonemi rękami czekać musi losu swojego, — bezwładny! Wolę burzę wojenną... hufce, tłumy, kule, strzały... tam jestem z szablą w ręku... tu spowity, jak dziecko.

— To też Karol, poczciwy chłopak, nie mogąc walczyć z piorunami i burzą — odezwał się pan Maciej — poszedł podobno do pomp, byle się komu sprzeciwić, a coś robić.

— O! zacneż to młode stworzenie — dodał Pułaski — a jak mi go żal, że dla mnie i ze mną idzie na stracone imie. Ale na pociechę, żebyż się już dostać do konia, obozu, roboty.

— Tak, tak — przerwał Maciej — byle nie na dno morza, do tych zębatych rekinów... ciągle za okrętem płynęły, czując co nas czeka... podwieczorku im się chciało.

Okręt hecę wyprawiał, jakiej nie bywało.

W tej chwili trzask silniejszy się rozległ i oślepiający blask oczy im zakrył — ogień strumieniem przeleciał po jednym z mniejszych masztów, i strzaskany słup upadł na pokład okrętu.

Szczęściem nie zapalił go, a majtkowie rzucili się natychmiast, aby szkodzie zaradzić. W chwili trwogi Girod wyleciał z pod ławy wołając:

— Giniemy! giniemy!

— Milczże Waść — ofuknął Pułaski. — Gdzie siła Boża z ludzką słabością idzie w zapasy, tam i o łasce Bożej pamiętać potrzeba.

Po chwili krótko trwałego przerażenia już resztki masztu ściągano; nikt rażonym nie został, a strata łatwo się zapaśnym masztem wynagrodzić dała.

Piorun ten zdawał się być zwiastunem końca burzy... błyskawice stawały się rzadszemi, wicher opadał powoli, deszcz lał tylko rzęsisty.

Nad głowami ich chmury się rozbijały, dzieliły, niebo gdzieniegdzie przeglądało jaśniejsze, a choć wicher jeszcze straconą odzyskiwał siłę, koniec tych szałów jego przewidywać było można. Okręt z walki wyszedł zwycięzko. Głos kapitana znowu się dał słyszeć, majtkowie śmielej zwijali się po pokładzie; — na horyzoncie dalekim, jakby linią czarną, odcięło się morze od niebios jaśniejszych.

Francuz obejrzawszy się, ośmielony całkiem z pod ławy się dobył, weselszy, raźniejszy zbliżył się do Pułaskiego z uśmiechem zwycięzkim na ustach.

Statek rzucał się jeszcze, ale fale już nie były tak rozhukane, głębie nie roztwierały się głodne... kołysał się na wierzchach wzdętych bałwanów, a rzadko większy z nich zaglądał przez ściany do wnętrza.

— Mojej to szczęśliwej gwieździe i przestrodze, którą w porę dałem kapitanowi, przypisać potrzeba, żeśmy jako tako wyszli z tego dyabelskiego tańca! — rzekł Girod do Rogowskiego.

— Ale czy nie za wcześnie się cieszycie — odparł z przekorą p. Maciej. — Kapitan mi powiadał, że wybrzeża około Delawary okryte są

statkami angielskimi, tam nas może dopiero czeka ostateczna rozprawa. Jeżeli nas złapią, nie ma wątpliwości, że pójdziemy albo na dno morza, lub na pontony, na których życie gorsze podobno, niż tu na statku przy śmierdzącej wodzie, starej słoniny i robaczliwych sucharkach.

— Kapitan ma od tego głowę — rzekł Francuz.

— Dlatego też się frasuje, że mu tu i najlepsza nie pomoże — dodał umyślnie Rogowski, aby się pozbyć natręta.

Poszedł więc gaskon skwaszony.

Teraz cichło już i łagodniało morze, fale jeszcze szeroko były rozkołysane, ale niebiosa już się widocznie rozpogadzały.

Przez podartych chmur resztki, które doganiały starsze towarzyszki swoje, gwiazdki ciekawie ku morzu patrzały. Obłoczki coraz lżejsze, rozczochrane, zmęczone, odlatywały w stronę, w którą burza na ocean się zwaliła.

Wzięto położenie statku i obrachowano gdzie się znajdował, a Leclerc przekonał się, że był daleko bliżej lądu niż się spodziewał. Było już dobrze z północy, wiatr upadając znacznie, dozwalał nieco rozpiąć żagli, można było rachować że ze dniem pokaże się ziemia.

Kapitan, który już niejedną podróż po wodach tych odbywał i znał dobrze wybrzeże, u którego bezpiecznych portów było mało, rachował na to, że burza, co piękną Ludwikę pędziła, musiała też i angielskie statki oddalić od brzegów; nimby więc na stanowiska czas powrócić miały, trzeba było pospieszać, aby bezpiecznie zawinąć.

Jak tylko nieco uspokojone dozwoliło powietrze, rozwinięto żagle, zaczęto je pomnażać stopniowo i nagie liny statku okryły się powoli rozpiętemi skrzydły. Załoga była doświadczona, ludzie zwinni i ochotni, okręt posłuszny, i choć miotające nim fale przerzynać musiał, wiatr mając ukośny, pospieszał znowu ku brzegom Ameryki.

Nad świtaniem gdy wszelkie minęło niebezpieczeństwo, podróżni znużeni do kajut i hamaków na spoczynek się porozchodzili, tylko polscy wygnańcy bez snu na oczach pozostali na pokładzie, poobwijani w burki i płaszcze, zobojętniel na sen i spoczynek.

Karol spracowany, oblany potem, wrócił od pomp i padł przy swoich na pokład. Jakaś tęsknota niezmierna, jakby przeczucie złych losów opanowała umysły — rozmowa nawet o domu się nie kleiła.

Tak na wpół drzemiących, pół sennych i rozmarzonych smutnie zastał poranek, który na wypogodzonem niebie zabłysnął.

Morze poruszało się jeszcze zagniewane i wzdęte, ale nic nie groziło już pięknej Ludwice, oprócz angielskich statków. Cała osłoniona białemi żaglami od góry do dołu, strojna, wesoła, pędziła ku nowemu światu.

Uroczyste było milczenie, gdy z wierzchołka kosza na maszcie porucznik statku zawołał:

— Ziemia!!

Okrzyk ten powtórzony w mgnieniu oka stem ust, zelektryzował wszystkich... porwali się podróżni zewsząd, pobudzili, zbiegli patrzeć... a Pułaski starym obyczajem, jak zawsze w przeddzień ważnej godziny, ukląkł na pokładzie, zdjął czapkę z głowy i sparty na kolanie, począł po cichu „Kto się w opiekę“.

Karol i Rogowski poszli za jego przykładem, reszta czeredy zbieranej po świecie patrzała urągliwie na tę ich jawną pobożność.

Wielu z nich może miało jeszcze w sercu religijne uczucie, ale odwagi do okazania go — nie miało; inni postradali ją a nie zyskali nic za nią, prócz dziwacznych zabobonów.

Ziemi tej zapowiedzianej dla oczów nieprzywykłych do jej szukania — nie było na widnokręgu.

Coś w dali jakby pas sinych chmurek leżących na morzu szarzało. Ale z każdą chwilą ta mgła stawała się wyraźniejszą, dobitniejszych nabierała kształtów.

Tak, był to nareszcie świat nowy. Serca się ścisnęły.

Co Bóg da na tym nowym świecie, dolę czy niedolę.. śmierć czy zwycięztwo?

— Fiat voluntas Tua! — zawołał głośno Pułaski.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Była więc jak zawsze, słodką, przyjazną, zachwycającą.

Godziny w których Maurycy oglądał Genowefę, były dla niego godzinami istotnego życia. Przez resztę czasu swego cierpiał on gorączkę, że tak powiemy gorączkę nr. 93, która dzieląc Francyę na dwa obozy, co chwila wywoływała między nimi nową walkę.

Około południa jednak musiał pożegnać Genowefę i wrócić do Temple.

Przy końcu ulicy Sainte-Avoye spotkał Lorina wracającego z warty; ten opuściwszy swoje szeregi zbliżył się do Maurycego, którego twarz jaśniała jeszcze słodką błogością jaką widok Genowefy zawsze napawał jego serce.

— Ah! — rzekł Lorin serdecznie ściskając dłoń przyjaciela:

Napróżno ukrywasz Zosiu nieszczęśliwa
Walkę wewnętrzną, serca twego bicie,
Wiem dobrze, luba, na czem tobie zbywa.
Wiem na czem skończysz, moje drogie życie.

Maurycy włożył rękę do kieszeni szukając niby klucza, tym sposobem bowiem zwykle stawiał tamę poetycznemu zapędowi swego przyjaciela. Ale ten spostrzegł to poruszenie i umknął śmiejąc się.

— Ale, ale — rzekł wracając jeszcze — zostajesz na trzy dni w Temple, mój Maurycy, zalecam ci więc małego Kapeta.

XII.

Miłość.

W rzeczy samej Maurycy po upływie niejakiego czasu, był bardzo szczęśliwy i bardzo nieszczęśliwy. Taki to zwykle początek silnych namiętności.

Dni upływały mu już to na rannej pracy w sekcyi, już przy wieczornych odwiedzinach przy ulicy św. Jakuba, już nakoniec po pojawieniu się niekiedy w klubie Termopilów.

Nie taił przed sobą, że przez codzienne widywanie Genowefy, pełnym kielichem wychyla miłość bez nadziei.

Genowefa należała do rzędu kobiet bojaźliwych i na pozór łatwowiernych, które szczerze podają rękę przyjacielowi, niewinnie i jak pełne zaufania lub niewiadomości dziewicę zbliżają swe czoło ku ustom jego, lecz którym miłosne słówko zdaje się być przekleństwem, a materyalna żądza świętokradztwem.

Genowefa nie podzielając prac męża i zupełnie od niego odosobniona, wśród kwiatów, których świeżością i wonią tchnęła, ilekroć widział ją Maurycy, wydała mu się niby żyjącą zagadką, której znaczenia nie mógł rozwiązać, której rozwiązania nie śmiał żądać.

Jednego wieczoru siedzieli jak zwykle oboje tylko przy oknie, przez które owej pamiętnej nocy Maurycy wpadł był z takim hałasem i tak niespodzianie.

Woń kwitnących lilii pływała po miłym wiaterku towarzyszącym zachodowi słońca. Maurycy po długim milczeniu w czasie którego śledził bystre i religijne spojrzenie Genowefy, wpatrującej się w gwiazdkę błyszczącą na czystem tle nieba, ośmielił się zapytać jej, skąd pochodzi, że tak młoda, ma męża będącego już w drugiej połowie średnich lat mężczyzny; że tyle pełna wyższości; kiedy przeciwnie w małżonku jej wszystko zapowiada gminny ród i wykształcenie; że tyle nakoniec poetyczna, kiedy przeciwnie Dixmer oddany jest cały jedynie ważeniu, rozwieszaniu i farbowaniu skór w swoim warsztacie.

— Dlaczego wreszcie u garbarza widzę tę arfę, ten fortepian, te farby, któremi się zajmujesz pani, jak to z własnych jej ust słyszałem? — spytał Maurycy. — Pocóż ta arystokracya, której

u innych tyle nienawidzę, a którą tutaj tyle uwielbiam?

Genowefa rzuciła na Maurycego pełne słodyczy spojrzenie.

— Dziękuję — rzekła — za to zapytanie, dowodzi mi ono, że pan jesteś człowiekiem wyrozumiałym, i żeś nigdy i nikogo nie wypytywał o mnie.

— Nigdy pani — odpowiedział Maurycy — mam przywiązanego przyjaciela, który dla mnie gotów życie własne poświęcić, mam stu towarzyszy, którzy pójdą za mną wszędzie, gdzie ich poprowadzę; ale skoro chodzi o kobietę, a zwłaszcza taką jak Genowefa, jedno znam tylko serce któremu wierzę, a to serce jest moje.

— Dziękuję ci Maurycy — rzekła młoda kobieta. — Powiem ci więc sama wszystko o czem wiedzieć pragniesz.

— Naprzód kto pani jesteś z domu? — spytał Maurycy — bo znam cię tylko z nazwiska twojego męża.

Genowefa zrozumiała miłosny egoizm tego zapytania i uśmiechnęła się.

— Nazywam się Genowefa de Treilly — rzekła.

Maurycy powtórzył:

— Genowefa de Treilly.

— Amerykańska wojna — mówiła dalej Genowefa — w której mieli udział mój ojciec i starszy brat przyprawiła rodzinę moją o upadek.

— Obaj więc byli szlachtą? — rzekł Maurycy.

— Nie, nie — płonąc odparła Genowefa.

— Mówiłaś mi pani jednak, że się nazywasz z domu Genowefa de Treilly.

— Bez przyimka panie Maurycy; rodzina moja była bogata, lecz bynajmniej nie dbała o szlachectwo.

— Pani mi nie dowierzasz — z uśmiechem rzekł młodzieniec.

— O! nie, nie — przerwała Genowefa. — W Ameryce ojciec mój wszedł w stosunki z ojcem pana Morand, a pan Dixmer był pełnomocnikiem pana Morand. Wiedząc, żeśmy podupadli i że pan Dixmer posiada niezależny majątek, pan Morand przedstawił go memu ojcu, który znowu mnie z nim zapoznał. Domyśliłam się, że z góry już ułożyli małżeństwo, pojęłam, że żąda go moja rodzina, a że nigdy nikogo nie kochałam, więc przyjęłam. Od lat trzech jestem żoną Dixmera i wyznać winnam, że przez cały ten czas mąż mój był dla mnie zawsze tyle dobrym, iż mimo owej różnicy, gustu i wieku, która pana tak uderza, ani na chwilę nawet postępku tego nie pożałowałam.

— Lecz — mówił Maurycy — gdyś pani zaślubiła pana Dixmer, nie stał on jeszcze na czele tego warsztatu.

— Nie, mieszkaliśmy naówczas w Blois. Po wypadkach z dnia 10 sierpnia, pan Dixmer kupił ten dom i przyległe mu warsztaty; abym nie miała nic wspólnego z robotnikami, abym nie widziała nawet rzeczy mogących ranić moje, jak powiadają, nieco arystokratyczne przyzwyczajenia, Dixmer przeznaczył dla mnie ten pawilon, w którym żyję samotnie, w zaciszu, według mojego gustu, chęci, szczęśliwa, jeżeli podobny panu przyjaciel, przybędzie przerwać lub podzielać moje marzenia.

To mówiąc, podała rękę, którą Maurycy z zapałem ucałował.

Genowefa lekko zarumieniła się.

— Teraz, mój przyjacielu — rzekła cofając rękę — wiesz jakim sposobem zostałam żoną pana Dixmer.

— Wiem — zaczął znowu Maurycy mocno wpatrując się w Genowefę — ale nie mówisz mi pani jakim sposobem pan Morand został wspólnikiem pana Dixmer?

— O! to bardzo naturalne — odpowiedziała Genowefa. — Pan Dixmer, jak już wspomniałam, miał nieco zapasów pieniężnych, lecz nie tyle, iżby na własne ryzyko odważył się otwierać podobnie znakomitą garbarnię. Syn pana Morand, jego protektora, o czem równie wspomniałam, tego przyjaciela mojego ojca, jak to sobie zapewne przypominasz, dał połowę funduszu; a ponieważ jest to zawołany chemik, poświęcał się więc dociekaniom z wytrwałością i pracą, które naocznie widziałeś, i dzięki którym handel pana Dixmer ogromnie się rozgałęził.

— Pan Morand zatem, należy także do rzędu dobrych twoich przyjaciół, pani, nieprawdaż?

— Pan Morand jest to człowiek pełen najwznioślejszych i najszlachetniejszych uczuć — poważnie odpowiedziała Genowefa.

— Jeżeli oprócz podzielania z panem Dixmer kosztów zakładu i wynalazku nowego sposobu farbowania safianu, nie dał państwu innych tego dowodów — rzekł Maurycy nieco urażony wysoką ceną jaką młoda kobieta nadawała wspólnikowi męża swego — pozwól mi pani uczynić sobie uwagę, że zbyt mu pompatyczne oddajesz pochwały.

— Dał mi inne tego dowody, mój panie — odrzekła Genowefa.

— Ale on jeszcze młody, nieprawdaż, jakkolwiek dzięki zielonym okularom trudno z pewnością wiek jego oznaczyć.

— Ma lat trzydzieści pięć.

— Oddawnaż znacie się z sobą?

— Od dzieciństwa.

Maurycy przygryzł usta.

Zawsze miał w podejrzeniu Morand'a, że kocha Genowefę.

— Ah! — powiedział — to więc jest przyczyną jego poufałości z panią.

— Zawartej zawsze w granicach, które pan widziałeś — z uśmiechem przerwała Genowefa — sądzę, że ta zaledwie przyjacielska tylko poufałość, niepotrzebowała tłómaczenia.

— O! przebacz pani — zawołał Maurycy — każde silne uczucie mieści w sobie zazdrość, moja więc przyjaźń zazdrościła tej jaką okazywać zdawałaś się panu Morand.

Zamilkł.

Genowefa również podzielała jego milczenie. Tego dnia nie mówiono więcej o Morandzie, Maurycy pożegnał tym razem Genowefę bardziej jak kiedykolwiek rozkochany, bo zazdrosny.

Zaślepiony, wzruszony swą namiętnością młodzieniec nasz w opowiadaniu Genowefy nie widział ani czuł zrazu wielu przerw, wielu zachwiań, wielu powtarzań, ale później wszystkie przyszły mu na myśl i dziwnie dręczyły, tembardziej, że nawet uspokoić go nie mogła ani nieograniczona swoboda, jakiej mu Dixmer dozwalał w rozmowie z Genowefą, ilekroć i jak długo mu się to podobało, ani też owa niejako samotność, w pośród której oboje każdy wieczór przepędzali.

Co większa, Maurycy zostawszy ich stołownikiem, nietylko cieszył się zupełnem bezpieczeństwem obok Genowefy, zdającej się znowu przez swą anielską czystość być strzeżoną przeciw wszelkim żądzom młodzieńca, lecz nadto towarzyszył jej w małych wycieczkach, które niekiedy po swoim cyrkule czynić musiała.

Wśród takiej zażyłości w domu Dixmera, dziwiła Maurycego niepomału jedna okoliczność, to jest, że im bardziej starał się poznać bliżej Moranda, może, wprawdzie dla dokładniejszego wyśledzenia w nim uczuć, które mniemał, że żywi dla Genowefy, im ściślejsze zawrzeć pragnął stosunki z tym człowiekiem, którego rozsądek, mimo uprzedzeń, przyciągał go ku sobie, którego szlachetne obejście coraz go bardziej ujarzmiało, tem dalej dziwaczny Morand zdawał się usuwać od niego.

Gorzko się na to uskarżał przed Genowefą, nie wątpił bowiem, że Morand odgadł w nim współzalotnika, i że również unika go jedynie z powodu zazdrości.

— Obywatel Morand nienawidzi mię — powiedział jednego dnia Genowefie.

— Pana? — rzekła Genowefa patrząc nań swem pięknem i zdziwionem okiem — Morand nienawidzi pana?

— O! jestem tego pewny.

— I jakiż miałby ku temu powód.

— Czy chcesz pani abym go wyjawił? — zawołał Maurycy.

— Bezwątpienia — odrzekła Genowefa.

— Bo! bo, ja...

Maurycy zatrzymał się. Miał powiedzieć: Bo ja cię kocham pani.

— Bo... nie mogę powiedzieć dlaczego — dodał cały się rumieniąc.

Dziki, ten republikanin, wobec Genowefy był lękliwy i wahający się jak młoda dziewica.

Genowefa uśmiechnęła się.

— Powiedz pan — rzekła — że nie macie ku sobie pociągu, a może uwierzę. Pan masz charakter zapalczywy, umysł świetny, jesteś człowiekiem wykształconym, Morand zaś, jest to kupiec zaszczepiony na chemika. — Bojaźliwy, skromny... i ta to właśnie skromność nie dozwala mu uczynić pierwszego kroku naprzeciw panu.

— Lecz któż żąda, aby pierwszy szukał zbliżenia się ku mnie? Ja to raczej, nie raz już sam o to starałem się, lecz zawsze mię unikał. Nie — kończył Maurycy zwieszając głowę — nie, to pewno nie to.

— I cóż więc takiego?

Maurycy wolał milczeć.

Nazajutrz po tej rozmowie z Genowefą, przybył do niej o godzinie drugiej z południa, zastał ją na wychodnem.

— Ah! witam — powiedziała Genowefa — będziesz mi pan służył za kawalera.

— Dokądże to pani wychodzisz — spytał Maurycy.

— Idę do Auteuil. Pogoda prześliczna, chciałabym użyć nieco przechadzki, pojazd mój zawiezie nas za rogatki i zaczeka, stamtąd pójdziemy pieszo do Auteuil, a gdy załatwię tam mój interes, wrócimy i znowu tu przyjedziemy...

— O! — rzekł Maurycy zachwycony — jakże mile dzień przepędzę z łaski pani!

Oboje wyjechali. Przebywszy Passy, pojazd stanął na środku drogi, wysiedli i dalej poszli piechotą.

W Auteuil Genowefa zatrzymała się.

— Zaczekaj pan na mnie w końcu parku — rzekła — wrócę skoro się załatwię.

— Do kogoż pani idziesz przecie? — spytał Maurycy.

— Do mojej przyjaciółki.

— Do której nie mogę pani towarzyszyć?

Genowefa z uśmiechem poruszyła głową.

— Niepodobna — rzekła.

Maurycy przygryzł usta.

— Dobrze — powiedział — zaczekam.

— I cóż? — spytała Genowefa.

— Nic — odpowiedział Maurycy — Czy długo pani zabawisz?

— Gdybym wiedziała, że sprawię ci przykrość panie Maurycy, gdybym wiedziała, żeś był czem zajęty — rzekła Genowefa — nie byłabym cię prosiła o wyświadczenie mi tej małej przysługi; i byłabym sobie wzięła za towarzysza..

— Pana Morand — żywo przerwał Maurycy.

— O! nie, wiesz przecie, że pan Morand pojechał do wyrobni w Rambouillet, wróci dopiero dziś wieczór.

— Aha! tej to więc okoliczności winieniem pierwszeństwo?

— Maurycy — łagodnie rzekła Genowefa — osoba do której idę nie może czekać na mnie tak długo, jeżeli przykrem ci jest moje towarzystwo wracaj do Paryża, ale mi przyszlij mój pojazd.

— Nie, nie — żywo odpowiedział Maurycy — jestem na twe rozkazy.

I ukłonił się Genowefie, która wydawszy lekkie westchnienie weszła do Auteuil.

Maurycy udał się na naznaczone miejsce, gdzie przechadzał się wzdłuż i wszerz, laską ścinał łebki trawkom, kwiatkom i ostom, które na swej drodze spotykał.

Droga ta zresztą nie wielką zajmowała przestrzeń, dlatego też Maurycy, jak każdy roztargniony, chodząc tam i tam natychmiast wracał na swoje miejsce.

Zajmowała go zaś wyłącznie chęć dowiedzenia się, czy go Genowefa kocha lub nie. Obchodziła się z nim wprawdzie jak siostra i przyjaciółka, ale czuł, że mu to nie wystarcza. On kocha ją całą swą miłością. Ona stanowiła nieustanną myśl dni jego i nieustannie odnawiające się marzenia nocy jego. Dawniej, pragnął tylko oglądać ją. Teraz już mu to było za mało, pragnął, aby go kochała.

Genowefa bawiła w Auteuil całą godzinę, która dla niego zdała się wiekiem; nakoniec spostrzegł ją, że dąży ku niemu z uśmiechem na ustach.

Maurycy przeciwnie, ze zmarszczoną brwią szedł na jej spotkanie.

Genowefa uśmiechając się ujęła rękę Maurycego.

— Otóż jestem — rzekła — przebacz przyjacielu, żeś tak długo czekał.

Maurycy odpowiedział skinieniem głowy i oboje udali się czarującą, rozkoszną, cienistą, gęstą aleją, z której manowcami wyjść mieli na wielką drogę.

Był to właśnie jeden z owych rozkosznych wiosennych wieczorów, kiedy każda roślina posyła w niebo swój zarodek, kiedy każdy ptaszek siedząc nieruchomie na gałązce, lub przeskakując z krzaczka na krzaczek, szle Stwórcy swój hymn miłości.

Maurycy milczał; Genowefa była zamyślona; jedną ręką wyrywała kwiatki z bukietu, który trzymała w drugiej ręce, wspartej na ramieniu Maurycego.

— Co pani jest? — nagle zapytał Maurycy — i co sprawia, żeś pani dziś tak smutna?

Genowefa mogła była odpowiedzieć mu: Moje szczęście. Lecz, rzekła rzucając nań swe słodkie i poetyczne spojrzenie.

— Pan sam czyliż nie jesteś smutniejszy jak zwykle?

— Ja — odpowiedział Maurycy — mam powód do smutku, jam nieszczęśliwy, ale pani...

— Pan nieszczęśliwy?

— Nie inaczej, czyliż czasem po drżeniu głosu mojego nie poznajesz pani że cierpię? Czyliż nie raz w ciągu rozmowy z panią lub jej mężem nie zrywam się nagle zmuszony potrzebą zaczerpnięcia, świeżego powietrza, bo mniemam, że pierś mi pęknie?

— Ależ — spytała zakłopotana Genowefa — czemuż pan przypisujesz to cierpienie?

— Gdybym był małą pieszczoszką — z bolesnym uśmiechem odrzekł Maurycy — powiedziałbym, że mam słabe nerwy.

— A w tej chwili czy cierpisz pan także?

— O! i jak jeszcze — mówił Maurycy.

— A więc wracajmy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Dom wewnątrz był bardzo starannie utrzymany, a na drugie piętro prowadził dywanik, wyściełający schody. Tu na drzwiach przyśrubowana blaszka świeciła napisem

Baron Dr. von Wolski.

Nie omylił się więc -- zadzwonił.

Z po za drzwi na pół szklanych, odsłoniwszy firanki wyjrzała głowa jakaś i znikła, a po chwili ukazał się rodzaj grooma w liberyi.

— W domu doktor?

— Pan baron w domu, jak mam zameldować?

Wojtuś oddał swój bilet, na którym stał już tytuł deputowanego. Zobaczywszy go sługa pobiegł, zostawiając otworem drzwi przedpokoju.

Garbus więc wszedł. Przedpokój był bardzo wytworny... Na kołku wisiały dwa surduty watowane. Przypuszczając, że jeden z nich był pańskim, drugi więc gościa mógł oznaczać.

Służący, który pana szukał, zapewne naprzód w jego gabinecie i nie znalazł, przebiegł przedpokój i wpadł do innych drzwi, a z tych po chwilce szybkim krokiem wysunął się Wolski.

Mrok w przedpokoju twarzy jego dobrze widzieć nie dozwalał, lecz z odezwaniem się poznał łatwo doktor, że był zmieszanym, choć udawał wielką radość.

— Kochany mój — rzekł — nie proszę cię do salonu, mamy gościa, mógłby się żenować, chodź do mnie.

To mówiąc i wyprzedzając go otworzył drzwi do małego gabinetu na prawo. Był on nieporównanie weselszym i milszym od owego na Frydrychstacie, ale miarkując z rozmiarów domu, można się było domyślać, że zięć pana radzcy otrzyma dla osobistego użytku coś jednak pokaźniejszego i wygodniejszego. Pokój obity był jaskrawo niebieskim papierem i jednem oknem wychodził w ciasne podwórko a tyłem poobracane kamienice wszelki mu widok sobą zabierały. Sprzęt był tak skromny, jak tylko być mógł, i tak nie liczny, jakby mieszkający tu czasowo tylko przebywając o uprzyjemnieniu sobie pobytu nie pomyślał.

Prawie tych samych kilka książek na stoliku i toż samo ubóstwo czegoś, coby najmniejszej dogadzało fantazyi. Szafeczka pobejcowana na orzech stała sobie skromnie w kątku a na niej futerał od cylindra nie przyczyniały się do ozdoby gabinetu. Wojtuś obejrzał się i poznał, że położenie Wolskiego nie wiele się zmienić musiało.

Spojrzał mu w oczy. Twarz była mniej zmęczoną, lecz jakby tajemniczą okryta zasłoną, uśmiechał się przymuszając do wesołości.

— Jakże ja się cieszę — zawołał Wojtuś — że po ciężkich latach próby widzę cię nareszcie w położeniu szczęśliwszem i uwolnionym od trosk codziennych, co ci życie truły...

Na uścisk Wolski odpowiedział uściskiem krótkim i zakłopotanym, poprosił siedzieć. Na powinszowanie nic nie rzekł i pytanie tylko zadał:

— Na karcie widzę, że jesteś deputowanym?

— A tak, na nieszczęście moje — westchnął doktor.

W tej chwili chłopak przebrany za grooma w kamaszach przyszedł coś panu szepnąć na ucho. Wolski zdawał się, niezmiernie uradowany, zarumienił się, klapnął go po ramieniu i zawołał po jego wyjściu...

— Żona moja prosi cię do salonu — sądzę, że wyczytała na bilecie także twój tytuł deputowanego — temu jesteś winien przyjęcie, bo nie będę ci taił, że Polaków nie lubi. Poznasz przytem znakomitego naszego pisarza dr. Arnheima, przyjaciela domu, którego talent moja żona wielbi i przekonania podziela. Człowiek bardzo znakomity rzeczywiście. Musiałeś czytać jego... rozprawę o przeznaczeniu i posłannictwie plemienia niemieckiego...

— Nigdy w świecie...

— Udawaj przynajmniej, że znasz to dzieło i, mój Wojtusiu — jak mnie kochasz... nie wyrwij mi się z jaką polakeryą...

— Co? — odskakując zapytał doktor. Wolski się uśmiechnął.

— Pamiętaj, żeś w niemieckim domu!

— Ale ba! dom pana radzcy a mieszkanie Polaka.

— Proszeż cię...

— Chodźmy — zawołał porywczo garbus — nie lękaj się, potrafię pogodzić obowiązki grzecznego gościa z obowiązkami sumienia.

Wolski potarł głowę — ścisnął go za rękę, poszli do salonu.

Salon urządzony był po niemiecku — wiele pretensyi a mało gustu... Uderzyło zaraz u wnijścia doktora, jak różnie wyglądało mieszkanie pani od zaniedbanego pokoiku męża. Tu było prawie wytwornie. W oknach stały kosze z kwiatami, papuga krzyczała w złoconej klatce... na ścianach czekając na obrazy wisiały w szerokich ramach oddruki z alpejskiemi widokami. Znać było, iż nie smak mieszkańców ale tapicera kierował urządzeniem tego przybytku muz, ozdobnego w fortepian i zarzuconego książkami.

Pani domu zawsze majestatycznie piękna, choć cały jej wdzięk ograniczał się na twarzy, bo postać była płaska i nie zbyt kształtna.. podała rękę doktorowi na powitanie. Przy mężu wyglądała na panią, on przy niej na szambelana królowej. Wyraz twarzy energiczny, surowy był i nie miły, ale go złagodzić umiała wyrobionym uśmiechem.

Stojący za nią mężczyzna w surducie z rękami w kieszeniach, dosyć niezgrabny, ale okrutnie nadęty, godzien był szczególnego zastanowienia. Był to typ specyficznie niemiecki a nawet berliński. Twarz wyrażała na pół rozwiniętą ale wielce z siebie zadowolnioną inteligencyą, rysy jej były nie znaczące, wyraz wybitny nadawał im charakter. Zaciśnięte usta, zmrużone oczy, okryte okularami nos mały, czoło dosyć niskie, wszystko oblane było jakby aureolą jakąś zadowolenia z siebie. Usta zaledwie raczyły otwierać się dla świata, oczy nań prawie patrzeć nie chciały, czoło w swych fałdach pomieściło już wszystko, co ludzka głowa objąć może. Spoglądał na wchodzącego garbusa na pół ciekawie, pół pogardliwie. Zaprezentowano ich sobie wzajemnie, obu jako doktorów a Wojtusia jako deputowanego. Doktor Arnheim zajął miejsce po prawej ręce gospodyni, wspierając się na łokciu, Wojtuś po lewej, gospodarz przy nim, pani na kanapie.

W kilku słowach dała do zrozumienia pani baronowa (tak się nazywać kazała), iż pamiętała o koleżeństwie uniwersyteckiem męża z doktorem i przypominała sobie króciuchne w Dreźnie spotkanie.

Wnet zagadnięto o to, że był deputowanym. Nie chcąc czynić przykrości Wolskiemu, Wojtuś postanowił mówić jak najmniej a nadewszystko unikać wszystkiego, co na polemikę narazić mogło... Lecz sama pani chciała się co prędzej ze swem politycznem wyznaniem wiary popisać.

— Powinszować należy panu doktorowi — odezwała się, tak zaszczytnego mandatu w chwili dla Niemiec tak stanowczej i ważnej.

Wojtuś się zarumienił, chciał zrazu połknąć to — ale nie mógł.

— Pani baronowa się myli — rzekł — ja zostałem wybrany przez moich ziomków dla popierania interesów naszej narodowości.

Wolski zbladł, dr. Arnheim poruszył się, spoglądając na mówiącego, jakby śmiałkowi, co to wyrzekł, chciał się lepiej przypatrzeć, baronowa także poruszyła się na kanapie.

— Ale w parlamencie niemieckim nie może być innych interesów jak niemieckie! — zawołała żywo.

— Na nieszczęście my nie z dobrej woli ale z przymusu przymieszani jesteśmy wcale niepotrzebnie do interesów niemieckich.

— Spraw naszej narodowości bronić musimy — odparł doktor.

Nastąpiło milczenie. Arnheim i gospodyni spojrzeli na siebie.

Po chwilce zdawał się budzić z uśpienia uczony autor dzieła o posłannictwie plemienia niemieckiego i począł głosem profesora z katedry:

— Panowie jesteście, widzę, nie uleczalni i nie przejednani do dziś dnia... ale są konieczności historyczne, są fatalizmy nieuniknione.. Misya Niemiec cywilizacyjna....

— My także, szanowny panie, przyznajemy sobie pewne posłannictwo idei i zasad — rzekł Wojtuś z uśmiechem — wątpię, żebyśmy się w tym względzie porozumieć mogli.

— Tak i mnie się zdaje — rzekł dr. Arnheim.

Gospodyni patrząc nań uśmiechnęła się.

— Mnie się zdaje — dodała, jakby chcąc zakończyć rozmowę — że zlanie się i zjednoczenie z takim narodem jak niemiecki powinno być pożądanem i miłem, podzielać jego wielkie losy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Dziecko w świetle hygieny.

Jak chronić dzieci od chorób zakaźnych.

Chcąc zapobiedz chorobom zakaźnym, trzeba, znając źródło zarazy, usunąć je i zniszczyć, przeszkodzić przenoszeniu tych źródeł na inne miejsca, zmniejszyć skłonność dzieci do danej choroby — rozumie się, o ile to tylko jest możliwe. Tutaj należy nadmienić, że jedne dzieci przy zetknięciu z zarazkami łatwiej ulegają zarażeniu — i takie właśnie nazywamy skłonnemi do chorób zakaźnych, inne trudniej ulegają chorobie lub wcale — i takie nazywamy odpornemi; tem należy wytłómaczyć fakt, że gdy w jednej rodzinie dziecko zachoruje n. p. na szkarlatynę, to nie wszystkie od chorego zarażają się tą chorobą.

Zanim przystąpimy do omówienia szczegółowo, w jaki sposób niszczyć zarazki, przyjrzyjmy się temu, w jaki sposób zarazki mogą być przeniesione. Otóż przedewszystkiem można przenieść zarazki przez wydzieliny chorych (w szczególe wydzieliny świeże, zgęszczone), przez bieliznę, pościel, suknie, meble i t. p., naczynia do jedzenia lub picia, wreszcie przez powietrze, wodę i ziemię zanieczyszczoną. Co się tyczy tego, w jaki spsób mogą być przeniesione zarazki, to wiemy, że dzieje się to przedewszystkiem przez dotknięcie chorego, przez spożycie pokarmów, zawierających zarazki, przez wdychanie zarażonego powietrza, przez owady kąsające (komary, pluskwy, pchły i t. p.), przez całowanie wreszcie, przez które często udzielamy dzieciom kataru, influenzy, gruźlicy i t. p. Całowanie nauczycielki w rękę przyczynia się też do przenoszenia zarazka — n. p. dziecko, mające początki kataru, influenzy i t. p. całuje nauczycielkę w szkole w rękę; zarazek, złożony przez pocałunek, zbiera z ręki następnie całujące, zdrowe dotychczas dziecko. Zniszczyć i usunąć źródła zarazy, o których wyżej mówiliśmy, można tylko za pomocą desynfekcyi czyli odkażania; mówić o tem będziemy w następnej pogadance, obecnie zwrócę jeszcze uwagę Sz. moich Czytelniczek na ten fakt, że choroby zakaźne powstają nie wskutek zaziębienia, jak zwykli wszyscy twierdzić, lecz wskutek zakażenia (infekcyi). Przeziębienie gra tylko nieznaczną rolę w powstawaniu chorób. O przeziębieniu może być tylko wtedy mowa, jeżeli dziecko podlega silnym zmianom temperatury, bądź na ulicy, bądź w mieszkaniu; jeżeli długo przebywa na chłodzie lub wilgoci, tak n. p. zbyt ciepło ubrane dziecko, które się wskutek tego spociło, może, jeżeli je szybko rozbierzemy w chłodnym pokoju, przeziębić się (nagłe oziębienie). Przeciwdziałać zbytniej wrażliwości dzieci na zmiany temperatury możemy za pomocą hartowania, o którem także mówić będę na innem miejscu. To, co nazywamy zaziębieniem, jest właściwie samozakażeniem ustroju; zaziębienie jest tylko jednym z czynników, ułatwiających zakażenie: zmniejsza ono odporność organizmu dziecka względem tych drobnoustrojów, które w danej chwili się w jego ustroju znajdować lub dostać do niego mogą, i wywołuje pośrednio zakażenie.

Zazwyczaj matki przypisują zaziębieniu takie choroby, jak zapalenie gardła, płuc lub biegunkę. — tymczasem przyczyny tych chorób należy szukać gdzieindziej; dziecko dostało kataru lub zapalenia gardła nie dlatego, że się zaziębiło w kąpieli lub na ulicy, lecz dlatego, że się zaraziło, — oziębienie organizmu było tylko momentem usposabiającym; biegunki dostało wskutek nieprawidłowego odżywiania. Bywają jednak przypadki, w których dzieci, wskutek nagłego oziębienia ciała (n. p. w zbyt zimnej kąpieli), dostają rozwolnienia, jest ono jednak przejściowem; objaśnić takie rozwolnienie można skurczem mięśni kiszek, wywołanym nagłem oziębieniem skóry (wskutek nagłej zmiany temperatury); rozwolnienie wywołane nieodpowiedniem żywieniem trwa znacznie dłużej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. med. Matylda Biehler.

Jak ubierać dzieci.

Cóż to za kłopot nieraz z ubraniem tych naszych najmilszych!

Każda matka stara się o to, naturalnie o ile jej na to kieszeń pozwala, aby jej malec ładnie wyglądał. — Niestety tak często, może mimo najszczerszych chęci, przy niefortunnem zestawieniu, czy to poszczególnych części ubrania, czy też kolorów, to, co ma być ładnem, staje się wprost brzydkiem.

A już o tem, aby nietylko ładnie ale i hygienicznie dziecko było ubrane zapomina się zu-

pełnie, a zdaje się, że ta strona ubrania jest najważniejsza.

Otóż mojem zdaniem śmiało pogodzić można jedno z drugiem, godząc wymagania hygieny ze smakiem estetycznym.

Przedewszystkiem ubranie dziecka powinno się odznaczać prostotą. Wszystko bowiem, co przeładowane, przestrojone, rzucające się swoją jaskrawością i pretensyonalnością zbyt w oczy razi już u starszej osoby, a cóż dopiero mówić o dziecku!

Każdy przyznać musi, że najładniej wygląda dziecko ubrane biało. Coprawda jest to przybranie cokolwiek niepraktyczne, zwłaszcza, że dziecko nie bardzo troszczy się o to, czy sukienka, którą wzięło rano czystą, przetrwa w tym stanie dzień lub dwa. — Wynagrodzi nam to taniość i wielki wybór danych materyałów. Bo czyż nie ładniej i milej wygląda dziecko ubrane latem w skromną białą batystową lub muślinową sukienkę, ubraną cośkolwiek koronką lub wstawką; o ile materyał sam jest już w deseń lub lekki rzucik i ten wystrój staje się zbyteczny. W porze zaś chłodniejszej zastąpić je można barchanami lub wełnianymi muślinami, jeżeli już nie zupełnie białymi, to przynajmniej wybierać kolory jasne, jak różowy, niebieski, w których to dziecko również miło wygląda.

Materyały te mają to do siebie, że nie są zbyt drogie, już od 50 f. za metr począwszy, trwałe, i dobrze się piorą. Sukienka uszyta z tych materyałów stanowczo jest ładniejszą, niż wszelkie aksamity, plusze, ciemne wełny itd.

W gorącej porze powinny być dzieci lekko i luźno ubrane, gdyż szybkimi ruchami, skakaniem, bieganiem rozgrzewają się ogromnie prędko, przez co krępujący i ciasny ubiór męczy je szybko. Najodpowiedniejsze na ten cel sukienki puszczane, w ostatecznym razie przepasane lekko wstążką lub szarfą z tej samej materyi, co suknia. Nigdy nie należy krępować dzieci pasami skórkowymi, a co gorsza gumowymi.

Na bieliznę dla dzieci najlepsze są bawełniane materyały, a nie płótno, które chłodzi skórę ogrzaną ruchem, zmęczeniem i wywołuje nieraz zaziębienie. Pończochy, ta ważna część ubrania, powinny być w porze zimowej wełniane, gdyż tylko takie utrzymują nogi w stanie należytego ciepła, latem zaś najodpowiedniejsze krótkie skarpetki bawełniane. Najpraktyczniejszem i najzdrowszem jednak jest chodzenie boso, jeżeli już nie zupełnie, to przynajmniej tylko w sandałach przypasanych do stóp dziecka rzemyczkami. Chodzenie takie sprawia nietylko dziecku niekłamaną przyjemność, ale co ważniejsza oddziaływa doskonale na ustrój nerwowy.

W zimie niepraktycznym i niezdrowym jest zwyczaj związania szyi grubym szalem wełnianym. Daleko lepiej pozostawić szyję odkrytą i tym sposobem zahartować gardło, jeden z najdelikatniejszych i najwięcej wrażliwych organów naszego ciała. Wszelkie owijanie szyi staje się zbytecznem, jeżeli dzieci od najmłodszych lat są należycie zahartowane. Natomiast potrzebną i w zimnej porze konieczną jest ochrona dla uszu, jaką dają dziewczętom kapotki, chłopakom zaś czapki spuszczone na uszy.

Większy jednak kłopot sprawia dobranie kapelusika letniego. Jak w całem ubraniu, tak i tu przeważać powinna prostota i elegancya. Kapelusik przybrany tylko wstążką, bez żadnych piór, kwiatów lub błyszczących obszywek zupełnie dla dziewczynki wystarcza i ubiera ją o wiele ładniej jak wszystkie te rażące a przytem kosztowne dodatki.

Obok największej prostoty, powinno jednak ubranie dziecka, jak już wyżej wspomniałam, posiadać pewien wygląd estetyczny, pewien wdzięk miły dla oka.

Dom i kuchnia.

Krem pomarańczowy mrożony.

Kwartę młodej śmietany niezbyt kwaśnej ubić do gęstości, pół funta zaś cukru rozpuścić na ogniu w szklance soku, wyciśniętego z pomarańcz i jak najwcześniej oczyszczonego z pestek, bo inaczej będzie zaraz gorzki. Gdy cukier w soku się rozpuści, sok odstawić do zupełnego wystudzenia. Sok zimny wlewać potrochu, mieszając ciągle, w ową ubitą śmietanę, poczem złożyć wszystko w formę, wypłukaną zimną wodą, pokryć z wierzchu papierem posmarowanym cienko niesolonem masłem, całą formę umieścić na 4 godziny w lodzie, posypanym solą i trzymać w nim do samego na stół wydania.

Do kremu tego w miejsce soku pomarańczowego użyć można sok poziomkowy lub malinowy, a z każdym z nich legumina będzie wyborną.

Pieczeń wołowa z garnczka.

Dwa funty pieczeni zrazowej, oczyszczonej z kości i żył, pokrajać w cienkie plastry, jak na zrazy, które zbić trzeba trochę i osolić. Garnek żelazny, dosyć szeroki i zastosowany wielkością do ilości mięsa, wyłożyć w cienkie plastry pokrajaną słoniną, dać warstwę rozmaitej poszatkowanej

włoszczyzny, w której przeważać powinna marchew. Na warstwie tej włoszczyzny układać zrazy, przekładając każdą warstwę plasterkami cytryny obranej ze skórki i oczyszczonej z pestek, oraz małemi kupkami masła. Garnek napełniony posypać jeszcze z wierzchu włoszczyzną, zalać dwoma kieliszkami wina kuchennego, przykryć szczelnie dopasowaną pokrywą, oblepić je ciastem i w piec wstawić na trzy godziny.

Pieczeń cielęca na sposób sarniej.

Dużą ćwiartkę cielęciny, naszpikować gęsto ze wszystkich stron młodą słoninką; następnie utłuc garść jałowcu, natrzeć mocno całą pieczeń, którą włożyć w głęboką wanienkę. Zagotować octu winnego, dobierając jednę część białego wina i tymże gorącym octem zalać pieczeń, tak aby była cała zanurzona. Pozostawić pieczeń w tym occie przez trzy dni, przewracając ją do czasu do czasu, a wyjąwszy z marynaty, upiec na rożnie lub w piecu, polewając najpierw masłem, a potem śmietaną. Kto chce mieć sos ostrzejszy, może do śmietany dodać kilka łyżek octu, w którym się pieczeń moczyła. Tym sposobem przyrządzona cielęcina jest bardzo smaczna, a w smaku zbliżona do młodej sarny.

Ciasto biszkoptowe.

Proporcya na 10—12 osób: 15 jaj, pół funta cukru, pół funta mąki. Cukier miałki przesiać na miskę; wbić 4—5 żółtek i trzeć dobre 10 minut; potem wbijać po jednem żółtku, ucierając bez przerwy, aż masa będzie zupełnie biała. To rozcieranie masy powinno trwać około do trzech kwadransy, wtenczas wsypań mąkę i połowę białek, ubitych na sztywną pianę, dobrze wymieszać, a gdy już wszystka mąka schowana, dodać resztę piany, którą już leciutko łyżką wymieszać. Masę nakładać do worka płóciennego, opatrzonego na końku gładką tutką blaszaną i wyrzucać na blachę, wyłożoną papierem, w podłużne lub okrągłe biszkopciki, które się posypuje pudrem i wstawia do bardzo wolnego pieca, żeby wolno wyschły i nie zrumieniły się.

Z tej samej masy można wyduszać różne ciastka okrągłe lub podłużne, które po upieczeniu wydrążyć, nałożyć cienko masą marcepanową, kremem waniliowym, marmoladą lub powidłami, złożyć jedno do drugiego i obciągnąć pomadą białą, różową lub czekoladową.

Kapusta nadziewana.

Dużą głowę kapusty oczyszczoną z wierzchnich liści, gotować w całości w wodzie przez pół godziny, potem po osączeniu, każdy liść ostrożnie odłączyć, aby się nie podarli i grube żyłki z niego pościnać, środkowe zaś pozostałe listki zwykle małe, posiekać drobno. Łyżkę masła zasmażyć z drobno posiekaną cebulą, złożyć w nią posiekaną kapustę i dusić do miękkości, dodać potem 5 łyżeczek utartej bułeczki zwilżonej mlekiem, 5 całych jaj, soli do smaku trochę gdy kto lubi miałkiego kwiatu muszkatołowego. Farszem tym każden liść nałożyć, zwinąć w rulonik i składać w rondel, podlawszy trochę wody. Przed samem podaniem wszystkie ruloniki wyjąć ostrożnie, aby się nie rozleciały, sos nieco mąką zaciągnąć na półmisku, kapustę nim podlać.

Oryginalne przybranie.

Zimne potrawy ugarnirować można w następujący sposób: w kieliszki od jaj wysmarowane oliwę wkłada się wyłupane twarde żółtko i zalewa letnią galaretą czerwoną. Można również żółtka zafarbować kwasem buraczanym na czerwono i zalać rozczynem białym. O ile galareta jest z rosołu w połączeniu z żelatyną, można owe wywrócone foremki podać także na przekąskę z sosem remuladowym.

Wywabianie rdzy z bielizny.

Na plamy, ale tylko bielizny białej, nasypuje się soli szczawikowej i macza się tę plamę wodą ciepłą lub zimną, powtarzając to kilka rązy na dzień. Mała plama znika w przeciągu jednego dnia, duże w dwa lub trzy dni. Następnie wyprać miejsce wywabione, żeby kwas nie osłabił płótna. Przepis pochodzi z własnego doświadczenia, a plamy, które żadnemi ołówkami specyalnemi na rdzę i innemi środkami nie puszczały, znikły zupełnie z bielizny stołowej, nie niszcząc jej zupełnie.

Brązowe buciki

odświeża się w następujący sposób. Do pół kwarty mleka dodać trochę amoniaku, wlać do butelki, zakorkować i wymieszawszy dobrze umyć buciki gąbką umoczoną w tym płynie. Gdy wyschną, trzeć miękkim płótnem, aż nabiorą połysku.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Zupa pomidorowa z ryżem, polędwica z garniturem, szarotka z jabłek.

Poniedziałek. Bulion z pasztecikami, pieczeń cielęca ze szparagami, mazurki, bakalie.

Wtorek. Zupa pomidorowa z ryżem, pieczeń wołowa z garnczka, szarlotka z jabłek.

Środa. Zupa cytrynowa, pieczeń barania z grzybami, legumina cytrynowa.

Czwartek. Rosół z makaronem, sztuka mięsa w sosie chrzanowym, biszkopty itd.

Piątek. Zupa jarzynowa, jajka sadzone w szarym sosie krem pomarańczowy mrożony.

Sobota. Zupa szczawiowa z jajkami, pieczone kurczęta, kompot z jabłek.

:: HUMORYSTYKA ::

Kocha ją.

— Co, teraz wracasz do domu? O ja nieszczęśliwa, pewnieś się włóczył przez całą noc!

— Uspokój się duszko, uważasz, ja cię bardzo kocham, a jak cię nie widzę, to się okropnie nudzę, i muszę się trochę rozerwać!

Zielono w głowie.

— Nie pojmuję, zkąd ta zielona farba na moich palcach.

— Pan się zapewne drapał po głowie.

Nauczyciel śpiewu (podczas lekcyi): Do pioruna! albo te dzieci mają tak nieczyste głosy, albo moje uszy są nieczyste!

Zaasekurowany.

— Może pan dobrodziej zaasekuruje się na życie?

— Mój panie, dziś życia nikt nie pewny. Szkoda nawet składek.

— To może chociaż mebelki od ewentualnego pożaru.

— To mi całkiem niepotrzebne, gdyż się nie boję. Mam w kuchni trzy służące, więc strażnik prawie ciągle asystuje — o ogień jestem całkiem spokojny, bo w razie wypadku jest pomoc na miejscu.

W niepewności.

Obrońca (do sędziów przysięgłych, wskazując na oskarżonego): Miejcie wzgląd na tego biedaka! on jest tak upośledzony na słuchu, że nie może słyszeć głosu swego sumienia!

Honorowy.

— Panie, pan nazwałeś mnie, człowieka honorowego, przy wszystkich, łajdakiem!

— Tak! Mogę dać panu za to zadośćuczynienie.

— Zgoda. Dawaj mi pan i to zaraz, ale gotówką!

Ze świata tonów.

Na pewnym koncercie miała występować młoda śpiewaczka. Właśnie zamierza wstąpić na estradę i widzi, że jakiś stary jegomość siadł na krześle, na którem znajdowały się nuty. Zaambarasowana nie śmie się o nie upomnieć.

Komitetowy, który to zauważył, załatwił sprawę bardzo oględnie, bo zbliżywszy się do owego jegomościa, zwrócił mu uwagę, słowy:

— Panie dobrodzieju! te nuty nie są dla instrumentów dętych przeznaczone.

Dla czego?

— Wiesz co, — mówił do swojego znajomego pewien arystokrata, uważający się za półboga niemal, i obrażający się śmiertelnie, gdy go nie tytułowano jasnym panem — jutro się żenię, ale jeśli się doczekam syna, nigdy mu nie dam imienia Jan.

— A to dla czego?

— Bo nie mogę przecież pozwolić, aby mój lokaj mówił do niego kiedyś: Jaś nie oświecony.

Dowcipny złodziej.

Kupiec korzenny w pewnem mieście, miał zwyczaj, by zwabić kupujących, wywieszać codzień za szybą swego sklepu kartę z napisem: „podobna jak dziś sposobność, nigdy się nie zdarzy.“

Razu jednego, zawołany przez żonę na górę, wyszedł do niej pospiesznie, zapomniawszy zamknąć szufladę biurka, gdzie się znajdowała jego kasa. Skorzystał z tego jego posługacz, i zabrał mu pieniądze. Chcąc jednak zażartować sobie z nieostrożnego, w miejsce banknotów pozostawił w szufladzie arkusz papieru, na którym złośliwie skreślił następujące słowa: „Podobna jak dziś sposobność, nigdy się już nie zdarzy.“

— Powiedz mi Bosacki, dlaczego Jakub wziął aż dwie córki Labana?

— Żeby... żeby dostać więcej posagu.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.